NR 22 (98)
ROK III

TYDZIEŃ

6. VI. 1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



WYSTAWA WROCŁAWSKA

MANIFESTACJĄ POLSKOŚCI ZIEM ODZYSKANYCH

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"

NASZ WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY



Od lewej 539 Wiesio Bednarski — Lwowiak z Henrykowa, 540 Ziunia Bednarska (Henryków), 541 Wiesia Jurkiewicz (Białystok), 542 Andrzej Madej (Warszawa), 543 Krzyś Nowakowski (Toruń), 544 Ryszard Klechniewski (Olsztyn), 545 Basia Szadkowska (Bydgoszcz), mamusi słoneczko.



Od lewej 546 Halusia Sadowska (Gostynin), 547 Jaś marzyciel z Chorzowa, 548 Januszek Baranowski (Ścinawa Mała), 549 Marcinek Glauz (Kłodzko), 550 Urszulka Malska (Wrocław), 551 „słonko", 552 Piotruś Walecki (Mysłowice).



Od lewej 553 Jola Skórzewska (Leszno Wlkp.), 554 Andrzej Zamecki (Częstochowa), 555 Genek Michalski (Michałkowice), 556 Kruszynka Świerczewska (Gliwice), 557 Andrzej Wesoły (Sosnowiec), 558 Janusz Miazek (Rokociny), 559 Ingrid Piastowska (Przemyśl).



Od lewej 560 Sławek Pietraszewski (Mętków), 561 Ela Szyszkanow (Warszawa), 562 Uleczka Waldowska (Wejherowo), 563 Janinka Gruszecka (Kraków), 564 Czarusia, którą nazywają polską Shirley, czy zgadzacie się? 565 czy nie jest piękna moja laleczka? 566 Jadzia Nawratówna (Katowice).



Od lewej 567 Andrzej Wiszniewski (Wawer), 568 Dziunia Górska (Gniezno), 569 Terenia Wilkosz (Koszalin). 570 Urszulka Paculanka (Stary Targ), 571 Kajtuś Wójcik kawalerzysta z Ziębic, 572 i 573 Grzesik i Lucynka Kubiakowie (Tarnowskie Góry).



Od lewej 574 Ewunia Borowska (Gorzów), 575 Anulka Dąbkowska — Warszawianka z Wrzeszcza, 576 Grażynka Wardzińska (Warszawa), 577 Maciuś Strug (Warszawa), 578 Wojtuś Pawlak (Poznań), 579 Stasio i Kajtuś z Rzeszowa, 580 Basia Maślankiewicz (Warszawa).



Od lewej 581 Wituś Warchoł z Lublina, 582 Małgosia Wilkówna (Lubań Śl.), 583 Januszek Baranowski z Niemcza ma poważne kłopoty, 584 Magdusia Troszkówna (Katowice), 585 Bożenka Szymańska (Białogard), 586 Izydorek z Bydgoszczy. 587 czy nie można mnie wziąć za chłopca? — pyta Bożenka Białczykówna.

JAN PODRAZIŃSKI

SYNTEZA POLSKIEJ WOLI I PRACY

HISTORIA Prus była typową historią arrywisty, nowobogackiego, spekulanta, paskarza, czy jak go inaczej nazwiemy. Z małego księstewka brandenburskiego rozrosło się do mocarstwa, które zapanowało nad całym narodem niemieckim, a chciało panować nad całą Europą, ba, nad światem nawet, gdyby się udało, gdyby się były spełniły śmiałe marzenia. Co ciekawsze jednak, to fakt, że mocarstwowa potęga Prus powstała na ziemiach głównie polskich. Bo przecież Fryderyk II poza Brandenburgią posiadał w swym państwie pruskim zaledwie jakieś drobne enklawy w zachodnich Niemczech. Drugą jednak, bardzo cenną połowę Prus stanowiły Prusy Książące, Wschodnie i ten fakt pchał Hohenzollernów fatalnie do zaboru dalszych ziem polskich, celem uzyskania połączenia dwóch rozerwanych części państwa i do ciągłego zaokrąglania zdobyczy, celem ich najlepszego zabezpieczenia.

ZANIM jednak dynastia pruska podjęła politykę, zmierzającą do rozbioru Polski i wcielenia części jej ziem do własnego państwa, Fryderyk II, Wielki, zwrócił wpierw uwagę na Śląsk. To była ziemia, która mogła stanowić prawdziwą perłę w jego chudej schedzie. To był kraj, który powinien był go wzbogacić i stać się podstawą przyszłej potęgi Prus.

Panowanie Fryderyka II w Prusach wypadło na okres wielkich zaburzeń w dziedzictwie niemieckim. Władza cesarza Karola VI rozciągała się wprawdzie od Morza Północnego aż po Śródziemne, ale było to dziedzictwo kruche, a cesarz nie pozostawił męskiego potomka, który mógłby utrzymać w silnej dłoni dziedzictwo ojca. Pragmatyka habsburska gwarantowała wprawdzie dziedzictwo habsburskie najstarszej córce, Marii Teresie i formalnie Karol VI uzyskał nawet uznanie pragmatyki, ale kąsek był zbyt smakowity, by po jego śmierci nie znalazło się kilku łakomych. Najbardziej łakomym był zaiste Fryderyk II.

GDY napadł na Śląsk, lud polski, który wówczas jeszcze w zwartej masie zamieszkiwał liczne okolice tej bogatej ziemi, przeżył wielki dramat. Spod jarzma austriackiego, na ogół znośnego, miał się dostać w jarzmo pruskie, twarde i ciężkie. Wojna przewalała się przez kraj, niszcząc jej mieszkańców. A zaledwie skończyła się jedna, sukcesyjna, zaczęła się druga, siedmioletnia. Dwa państwa niemieckie zmagały się przez szereg lat o tę polską ziemię, która tuczyć miała i bogacić wrogów, a polski robotnik Śląska budować miał odtąd potęgę pruską.

IGDY Polska po kilkuset latach przybyła na te ziemie, przybyła nie na obce. Wróciła tylko. I wraz z państwowością polską musiała na te ziemie wrócić polskość. Musiał wrócić lud polski. Z tamtego, który tu siedział na własnym dziedzictwie praojców pozostał szczątek. Ale istniał jego brat z nad Warty, Wisły, z nad Buga i z za Buga, ten ze wsi i ten z miasta i ten, którego bieda wygnała ongiś na obczyznę. I te• brat przybył na te ziemie drogie, a wyrokiem historii odzyskane i zaludnił je, gdzie były puste i opuszczone, a skrzepił żywioł polski tam, gdzie ledwie już tliło pol skie ognisko. To nie byli poszukiwacze złota, którzy przez Góry Skaliste ciągnęli na zachód. To byli przodownicy polskości, przodownicy pracy, którą trzeba było w ten prapolski ugór włożyć, aby go ożywić, uprawić i przygotować pod przyszłe plony dla Polski.

GDY rozpoczęła się wielka wędrówka ludu polskiego na zachód, mało kto wierzył w skuteczność wysiłku. Propaganda niemiecka głosiła, że Polacy nie potrafili tych ziem ani zaludnić, ani zagospodarować. Pod wpływem tej propagandy czołowi anglosascy mężowie stanu zaczęli głosić konieczność zwrócenia Niemcom części tych ziem. Tymczasem polska wola i polska praca zadały kłam tej propagandzie. Polacy potrafili te ziemie nie tylko zaludnić pięcioma milionami ludzi i zagospodarować to, co było natychmiast do zagospodarowania, ale potarfili podnieść z ruin domy na wsi i w mieście, fabryki i warsztaty, odbudować koleje i porty, kopalnie i huty. Na tych ziemiach ześrodkował się ogromny wysiłek narodu, jakiego nie znają dzieje innych narodów. Na tych ziemiach skoncentrowała się cała wola narodu i cały jego twórczy rozmach. Tu stanęła do ciężkiej próby polska myśl twórcza i twórcza praca.

BOGACIŁ ongiś zrabowany Śląsk Niemców, dla których wraz z zagłębiem Ruhry był kuźnią napadów na Europę. W rękach polskich ten sam Śląsk służy nie tylko Polsce, ale przyczynia się do powojennej odbudowy Europy. W rękach polskich przemysłowy Śląsk przestał być kuźnią wojny, a stał się gwarantem pokoju. Ślepy, kto nie widzi politycznych skutków dla Europy tych ogromnych przemian, jakie dokonały się na terenie polskich Ziem Odzyskanych, nie przez prostą zamianę ludności tylko, ale również przez zmianę dysponenta bogactw przemysłowych i rolnych. Jak wówczas, tak i dziś, na ziemiach tych tętni praca. Ale wówczas praca ta podporządkowana była myśli o napadach, wojnie i rozbojach, dziś podporządkowana jest myśli o utrwalaniu pokoju i braterstwa ludów, które Polska tymi bogactwami obdziela.

OTO za miesiąc, w murach prapolskiego Wrocławia, który, wydarty Polsce przez kilkaset lat był ogniskiem niemieckiej myśli na tych ziemiach, otwarta zostanie Wystawa Ziem Odzyskanych, wystawa polskiej myśli, polskiej pracy, polskiego wysiłku, który na przestrzeni trzech lat zaledwie przeorał i zmienił gruntownie te ziemie. Wystawa, która pokaże nam samym, naszym przyjaciołom i wrogom ogromną sumę polskiej woli i pracy. Ta wystawa zada kłam wszystkim knowaniom Byrnesów, Churchillów, Bevinów i Marshallów, wszystkim ich rzekomo autorytatywnym oświadczeniom, że Polska nie może swych Ziem Zachodnich ani zaludnić, ani zagospodarować. Ta wystawa pokaże całemu światu, że tylko naród polski, nad którym najbardziej srożył się okupant i który mimo to nic nie stracił ze swej tężyzny ducha i ciała mógł dokonać w tak krótkim czasie tak wielkiego dzieła, politycznego zespolenia tych ziem z resztą Polski i podniesienia ich ze stanu opuszczenia i z ruin, w jakich je Niemcy pozostawili w ucieczce przed wojną.

JEŚLI świat zapomniał, że to Fryderyk Wielki najwcześniej rabował te ziemie dla Prus, a jego następcy później nawet, jeśli żyjący anglosascy mężowie stanu zdołali już zapomnieć, że przed kilkunastu miesiącami zadecydowali likwidację Prus, to na Wystawie Ziem Odzyskanych pokolenie Piasta przypomni im, że ono było odwiecznym tych ziem włodarzem i ono w sposób jak najbardziej pewny dokona likwidacji Prus, zrodzonych z ziem polskich i z tych ziem raz na zawsze wyrzuconych.

NA WSPÓLNYM SZLAKU

Po raz pierwszy w swych dziejach narody polski i bułgarski znalazły się na jednym szlaku historycznym dzięki podpisaniu traktatu o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy.

Nic dotąd nie łączyło obu słowiańskich narodów. Oba leżały w dwóch różnych rejonach Europy. Bułgaria na Bałkanach zagrożona była ekspansją rosnącej potęgi tureckiej, która wybiegała daleko poza Bałkany, sięgając z jednej strony cesarstwa niemieckiego, z drugiej ziem polskich. W okresie historycznej mocarstwowości Polski były odruchy wspólnej obrony, ale natury czysto fragmentarycznej i nie przyniosły rezultatu.

Polityka polska zwrócona była w tym czasie w innym kierunku, ku obronie wybrzeża morskiego, które mimo zwycięstwa pod Grunwaldem było stale zagrożone. Wojny z Turcją stały się w Polsce atrakcyjne później dopiero, po skonsolidowaniu przez Turcję jej panowania nad Bałkanami i podjęciu dalszej ekspansji.

Gdy Bułgaria w okresie dekadencji potęgi tureckiej odzyskała swą niezawisłość, Polska pozostawała jeszcze w niewoli trzech mocarstw. Po pierwszej wojnie światowej polityka obu państw poszła różnymi drogami. Pod panowaniem dynastii niemieckiej i pod rządami dworskiej kamaryli Bułgaria związała swe losy z losami mocarstw centralnych i wraz z nimi ponieść musiała konsekwencje klęski. Jej sytuacja była tym przykrzejsza, że znalazła się odosobniona wśród innych krajów bałkańskich, które opowiedziały się przeciw mocarstwom centralnym i znalazły się w obozie przeciwnym Bułgarii. Pokój nie zmienił tej sytuacji. Bułgaria pozostała izolowana od reszty narodów bałkańskich, gospodarczo w dalszym ciągu związana z Niemcami i pod władztwem tej samej dynastii niemieckiej, która nie umiała, czy nie chciała wprowadzić polityki bułgarskiej na nowe drogi.

Ostatnia wojna obaliła wiele kanonów i dogmatów i dowiodła, że przeciw potędze militarnej Niemiec skuteczny być może tylko albo system sojuszów bliskich, sąsiedzkich, albo system sojuszów dalekich, uzupełniony systemem sojuszów bliskich. W chwili, gdy stało się jasne, że przedwojenna polska koncepcja międzymorza, zwrócona zresztą przeciw Rosji, nie miała żadnych szans na realizację i Polska nie była zdolna do stworzenia bloku państw, położonych między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Śródziemnym, narzucała się wobec wzrastającej potęgi hitlerowskich Niemiec jedyna realna polityka oparcia systemu obrony na wschodzie o ZSRR. Wprawdzie i polityka francuska zwróciła się w tym kierunku przez zawarcie w r. 1935 francusko - sowieckiego paktu wzajemnej pomocy, ale posunięcie to nie było przekonywujące, czzyniło wrażenie aktu koniunkturalnego i pozostało bez widomych rezultatów. Jedynie Czechosłowacja poszła za przykładem Francji.

W sytuacji Polski, położonej geograficznie między dwoma mocarstwami i głównym szlaku ekspansji niemieckiej polityka taka musiała się skończyć nieszczęśliwie. Dzięki zwycięstwu Związku Radzieckiego, który był głównym zwycięzcą w ostatniej wojnie i przesunięciu granic Polski na zachód, Polska stała się poważnym dysponentem gospodarczym we wschodniej Europie, zajmując pod względem politycznym drugie miejsce obok ZSRR.

Na skutek przemian politycznych i ustrojowych jakie dokonały się we wschodniej Europie, pokrewieństwo ustrojów Polski i Bułgarii, opartych na zasadzie demokracji ludowej, musiało się z natury rzeczy przyczynić do zbliżenia zarówno politycznego, jak i gospodarczego. Nacjonalizacja ciężkiego przemysłu w Polsce oddała w ręce państwa całą jego wielką produkcję, którą może dysponować nie według interesów kapitalistycznych, ale w myśl interesu państwa.

Zbliżenie między Polską i Bułgarią znalazło swój pierwszy wyraz w konwencji kulturalnej, która ma się przyczynić do bliższego wzajemnego poznania i zrozumienia obu narodów, które kroczyły dotąd w historii własnymi drogami a obecnie wkroczyły na nowy szlak, prowadzący je do lepszej przyszłości.

W tym aspekcie zbliżenie polsko-bułgarskie posiada ogromne znaczenie, jako jeszcze jeden akt, podkreślający pokojowe tendencje polityki wszystkich krajów w rejonie wschodniej Europy.

Podpisany ostatnio w Warszawie traktat przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy między Polską, a Bułgarią odpowiada znakomicie nowym kierunkom politycznym w tej części Europy, które przyczyniły się już do usunięcia licznych ognisk zapalnych i do utrwalenia pokoju ogólno - europejskiego

Roman Niziński

Wojna Amerykańsko-Brytyjska

Niezależnie od krwawej wojny, jaka toczy się w Palestynie między Arabami, a Żydami, nie mniej zacięta toczy się wojna dyplomatyczna między Wielką Brytanią, a Stanami Zjednoczonymi Wielka Brytania zdemaskowała się całkowicie i zdemaskowała swą imperialistyczną politykę w Palestynie, prowadzoną przez lat 30. Okazuje się bowiem, że W. Brytania wyzyskała fakt przekazania jej mandatu nad Palestyną do ugruntowania swej hegemonii na Środkowym Wschodzie przez związanie się traktatami z szeregiem krajów arabskich. Dziś, w momencie przełomowych, efekty tej polityki ukazują się w całej nagości. Wielkiej Brytanii nie zależy bynajmniej na sprawiedliwym rozwiązaniu zagadnienia palestyńskiego, lecz na poparciu Arabów, którym dostarcza uzbrojenia i instruktorów.

Trudno twierdzić, czy Stanom Zjednoczonym zależy na sprawiedliwym rozwiązaniu zagadnienia palestyńskiego. W każdym razie jednak Ameryka znajduje się w okresie przedwyborczym i obie walczące strony liczą na poparcie Żydów w wyborach, rząd amerykański popiera więc państwo Izrael, przeciwstawiając się polityce brytyjskiej.

Ambicje Abdulli

Do niedawna emir, a obecnie król Transjordanii, Abdullah, jest władcą najmniejszego kraju arabskiego, ale bodaj najbardziej ambitnym. Jego marzeniem jest przywrócenie dynastii Haszemitów, której jest członkiem, dawnej świetności z okresu, gdy dynastia ta panowała nad Hedżasem i półwyspem Arabskim, zanim wygnana została przez Wahabitów.

Haszemici panują również w Iraku. Marzeniem ambitnego Abdulli jest stworzenie państwa Wielkiej Syrii, obejmującego Irak, Syrię, Liban i Palestynę pod władztwem Haszemitów. To dopiero byłoby państwo, które mogłoby Haszemitom wynagrodzić utracone dziedzictwo. Wprawdzie ani Syria, ani Liban nie wykazują chęci dopomożenia Abdulli w tym kierunku, ale najazd na Palestynę ma dopomóc władcy Transjordanii do połączenia dwóch krajów nadjordańskich. Ma to być pierwszy etap na drodze do utworzenia Wielkiej Syrii. Wspaniały opór Żydów może jednak przekreślić te ambitne zamierzenia Abdulli.

Syria, Liban, Iran

W 1941 r. wojska brytyjskie i szczupłe siły gen. de Gaulle'a zaatakowały Liban i Syrię, które pozostawały od poprzedniej wojny pod mandatem francuskim i zarządzane były po upadku Francji przez rząd Vichy. Po rozbiciu sił Vichy, wojska brytyjskie zainstalowały się na dobre w tych krajach. De Gaulle przyrzekł Libańczykom i Syryjczykom całkowitą niezawisłość, ale nie śpieszył się z realizacją. W Libanie rezydował poseł brytyjski, którym był gen. Spears, wielki przyjaciel Arabów. Nie bez na mowy gen. Spearsa Syryjczycy wyrzucili Francuzów ze swego kraju, a ich miejsce zajęli Brytyjczycy, ale i oni musieli się wynieść pod naciskiem Syryjczyków. Ich miejsce zajęli Amerykanie, którzy byli jednak na tyle sprytni, że nie przysłali do Libanu i Syrii wojsk, ale towary i zaczęli robić doskonałe interesy, tym lepsze, że ani Francja, ani W. Brytania nie mogły w tym okresie przysyłać do tych krajów żadnych towarów. Stąd szła kontrabanda towarów amerykańskich z jednej strony do Palest z drugiej do Iraku.

W Iranie, który przez długie lata stanowił bazę naftową brytyjską, Amerykanie stanęli już mocną stopą. Uzyskali oni nie tylko koncesje naftowe, ale również decydujący głos w gospodarce irańskiej, gdyż doradcą gospodarczym rządu irańskiego jest Amerykanin.



W Iraku Amerykanie wymusili na Brytyjczykach udział w mossulskich źródłach naftowych.

Transjordania

Obecnie Amerykanie ostrzą sobie zęby na Transjordanię. Kraj dwukrotnie większy od Belgii, jest niezwykle słabo zaludniony, gdyż liczy zaledwie 400 tysięcy ludności. Wraz z Palestyną pozostawał pod mandatem brytyjskim, po tym zwolniony z mandatu, stał się z łaski W. Brytanii królestwem. Z królem Abdullą rząd brytyjski zawarł traktat, który oddał Transjordanię całkowicie pod kuratelę brytyjską, w zamian za bazy wojskowe dla obrony kanału Sueskiego. Bazy te są obecnie dla W. Brytanii tym cenniejsze, że po opuszczeniu Palestyny są najbliższe Suezu. I na ten kraj właśnie ma apetyt Ameryka. Ostatnio znany publicysta amerykański Walter Lippman ogłosił artykuł, w którym wezwał rząd amerykański do zainteresowania się Transjordanią, która może stanowić doskonałą bazę polityczną i wojskową amerykańską na Środkowym Wschodzie.

Nie jest przeto wykluczone, że i z tego kraju Amerykanie wyrzucą Brytyjczyków.

Tak przedstawia się przyjacielska współpraca sojuszników anglosaskich na Wschodzie, gdy w Europie zgodnie pracują nad odbudową dawnej potęgi niemieckiej. (t)

Outsider na widowni

Zacięta walka przedwyborcza dwóch kandydatów republikańskich w Ameryce, Harolda Stassena i Thomasa Deweya dostarcza obywatelom amerykańskim wielu emocji. Początkowo górą był Stassen, ale ostatnio Dewey odniósł kilka sukcesów. Wszystko przemawia już za tym, że w tej walce żaden z rywali nie osiągnie takiej ilości głosów, która umożliwiła by mu nominację na kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych. W takim wypadku przedwyborczy konwent republikański będzie miał wolną rękę i nie będzie się musiał kierować wynikami rozgrywki, a wyznaczyć kandydatem całkiem innego, wybitnego członka. W takiej sytuacji najwięcej szans miałby senator Vandenberg, który w walce przedwyborczej nie bierze żadnego udziału, należy jednak do tych osobistości z obozu republikańskiego, które mogą pogodzić sprzeczne do pewnego stopnia tendencje polityczne obu rywali. W takim wypadku dzisiejsi współzawodnicy o fotel prezydenta, ubiegaliby się już tylko o stanowisko wiceprezydenta.

Jeńcy

Los jeńca wojennego nie jest słodki. Wiedzą o tym najlepiej ci polscy żołnierze, którzy przebywali w niemieckich obozach. Ale dziś jeńcami są tylko Niemcy. Dopiero na koniec bieżącego roku przewidziane jest zwolnienie wszystkich jeńców niemieckich.

Jest po wojnie i los ich jest z pewnością lżejszy, aniżeli był los sojuszniczych jeńców wojennych w Niemczech podczas wojny. Niemcy bowiem, łamiąc konwencje międzynarodowe, trzymali jeńców nie tylko w obozach jenieckich, ale i w koncentracyjnych i w obozach śmierci, gazowali ich i palili w krematoriach, lub mordowali na zimno.

Dziś prasa zachodnio-niemiecka żali się na los jeńców niemieckich w Polsce. Ale niedawno byli w Polsce niemieccy dziennikarze, którzy odwiedzili również obozy jenieckie i stwierdzili, że nie tylko są oni dobrze traktowani, ale korzystają również z radia, czytelni i biblioteki. Polacy nie są krwiożerczym narodem. Co dnia oglądamy na ulicach oddziały jeńców niemieckich i stwierdzamy, że mają dobry wygląd, są uśmiechnięci i rozmowni. (t)

DRODZY CZYTELNICY!

Jak już informowaliśmy Was w Nr 8 „Tygodnia", od dnia 15 lutego br. cały ciężar wydawania naszego pisma dźwigają na swych barkach pracownicy Redakcji i Administracji.

Ambicją naszą było i jest wydawanie pisma, które było by miłą, kulturalną i pożyteczną lekturą dla ogółu rodzin polskich. Staramy się wprowadzać stale nowe działy, zamieszczać coraz ciekawsze materiały.

Chcielibyśmy, aby nasi Czytelnicy tworzyli wielką „Rodzinę Przyjaciół Tygodnia", aby pod naszym adresem nadsyłali wszelkie uwagi i życzenia — co chcieliby w „Tygodniu" znaleźć, a czego nie, aby ufnie dzielili się z nami radościami swego życia, kłopotami i troskami. My ze swej strony będziemy się do Was zwracali z równym zaufaniem. W ten sposób nawiążemy wzajemne mocne nici sympatii, które przyniosą nam niewątpliwie obopólne korzyści.

Jak już zaznaczyliśmy, projektujemy wprowadzenie do „Tygodnia" nowych i interesujących działów i wprowadzimy je, o ile przyjdziecie nam z pomocą. Niech każdy z Czytelników zwerbuje nam jeszcze jednego nowego Czytelnika bądź sympatyka, a już będziemy mogli nasze pismo znacznie ulepszyć.

Zdobycie przez każdego z Was jednego nowego Czytelnika nie będzie zbyt wielkim wysiłkiem, a nam pozwoli prowadzić pismo z numeru na numer ciekawsze i pożyteczniejsze.

Pomyślcie nad tym, Drodzy Czytelnicy i zareagujcie na nasz apel szybko i skutecznie.

Nazwiska tych, którzy pozyskają 10 i więcej nowych Czytelników ogłaszać będziemy w „Tygodniu".

Czekamy na wyniki!

Redakcja i Administracja.

Żart, głupstwo i głębsze znaczenie

Powiedzmy sobie szczerze: prasa nasza ma na sumieniu grzeszki, którymi obsiewa swoje łamy. I nie wszystko można położyć na karb pośpiechu. A grzeszki te są liczne, jak piasek w morzu.

Błędy, nonszalancja, niewiedza. Należy z tym walczy? Niewątpliwie. Czy walczymy? I tak i nie. To jest — aby odpowiedzieć wyraźniej — walczymy według dość oryginalnej metody.

Bo proszę posłuchać. Pewien popularny tygodnik literacki — nazwa nie jest ważna, gdy objaw jest powszechny — dużo miejsca poświęca działowi „camera obscura". W dziale tym wyśmiewa ludzi, którzy się w jakiś sposób „potknęli". A chociaż głupstwo jest nieśmiertelne, walka z nim przynosi zaszczyt entuzjastom prawdy, wiedzy i ścisłości.

Niestety, przyglądając się tej walce — nie możemy oprzeć się wrażeniu, że jest to często walka z wiatrakami własnej wyobraźni, ataki nieraz tak złośliwie skierowane, że mogące przynieść więcej szkody niż pożytku i w wyniku ośmieszające akcję bardzo pożądaną.

Ale czas na przykłady. Przytoczę dwa, zaczerpnięte z ostatniego numeru owego tygodnika.

Więc przykład pierwszy,

Z „Expressu" — piszą tam — dowiadujemy się, że:

„Włoskie miasto Pizza ma swój „eksponat" dla turystów — krzywą wieżę. Warszawa ma natomiast krzywy słup ogłoszeniowy na rogu Koszykowej i Raszyńskiej. Mieszkańcom krzywa wieża w Pilźnie nie grozi niebezpieczeństwem, ale..."

Tę rzeczywiście dość niezgrabną notatkę zaopatruje złośliwy tygodnik takim komentarzem: „Po wypiciu pilzneńskiego piwa, każda wieża wydaje się krzywą wieżą, a włoskie miasto Piza — PPizza".

Ciężki dowcip „poszedł po linii" Pilzno — Pizza — Piza. Oczywiście, że drugie zet jest prawdopodobną omyłką drukarską, a Pilzna jest nią z pewnością. Czy nie szkoda czasu i papieru? Ten zart nie jest wart tynfa.

Drugi przykład jest sprawą znacznie przykrzejszą.

Zofia Karczewska-Markiewicz napisała w „Rzeczpospolitej" w recenzji ze sztuki Anny Świrszczyńskiej „Strzały na ulicy Długiej":

„Eksplozja mocna, jasna, zdecydowana, wprowadza widza w samą istotę problemu moralnego. Jedność akcji i jedność miejsca skupiają uwagę na centralnym zagadnieniu sztuki, pomagają rozgryzać dokładnie „sprawę Loli".

Bezimienny „kamerzysta" zaopatruje tę cytatę następującym komentarzem:

„Rozgryzamy, ale nie możemy rozgryźć, o jaką tu chodzi eksplozję..."

Należy żałować, że autor komentarza ma aż tak bardzo chore zęby. W przeciwnym bowiem razie byłby rozgryzł, gdyby mu w publicystyce szło także o „samą istotę problemu moralnego" (jak to był uczynił mój trzynastoletni siostrzeniec), że słowo „eksplozja" była zniekształceniem drukarskim słowa „ekspozycja". Ale troska moja jest niewczesna. Autor komentarza wie to równie dobrze, jak ja. Udaje jednak — jakby to powiedzieć — naiwnego, aby łatwiej osiągnąć swój cel. Ale jaki? Pokazać wszystkim, że autorka napisała głupstwo? Że należy ją przed publicznością ośmieszyć? Doprawdy, trzeba mieć w sobie dużo dobrej woli, aby nie widzieć w takim postępowaniu złej woli. Krzywda bowiem, jaką wyrządzono pisarce, karząc ją za błąd drukarski i wymieniając ją z imienia i nazwiska — tłumaczy się z tego przykładu sama.

Jak widzimy, ten sposób walki z pisarzami nie jest chyba najwłaściwszy. Ani z głupstwem. „Ale z kim żartować, z kim o rzeczach poważnych mówić, komu swe tajemnice i skrytości serca odkryć?"

A tymczasem prawdziwe głupstwo rózgi się nie boi. Przeglądam zbiory wycinków prasowych i znajduję w nich rzeczy, którym nie możnaby dać wiary, gdyby czarno na białym nie były utrwalone. Jest tedy Dandin, który napisał Moliera, jest maszy nopis króla Zygmunta Augusta, jest Szwecja, która nie prowadziła z Polską żadnej wojny, jest także i Warneńczyk, który chlubnie zginął pod Cecorą. Ośmieszanie niedouków, którzy ważą się napubliczne plecenie trzy po trzy, jest — wydaje mi się — celem rozmaitych ciemni optycznych. W pracy pisarskiej jednak — jak we wszelkiej pracy — nie najmniejszą rolę gra poczucie odpowiedzialności. Ono wskazuje cel ataku, gardząc walką z kropkami i przecinkami, źle przez drukarza ustawionymi. A i dobry żart łatwo odróżnić od złego.

Jakże to mówił pewien filozof, od dwóch tysięcy lat daremnie rzucający przestrogi?

„W zabawach i rozrywkach mamy także zachować pewną miarę, abyśmy w czem nazbyt z brzegów nie wylewali, i uniesieni wesołością w jaką sprośność nie wpadli. Na polu Marsowem i na polowaniu można się uczciwie zabawić".

Don Kichot

OSSOLINEUM we WROCŁAWIU

Gdy w czerwcu 1946 roku delegacja polska wyjechała do Kijowa celem przeprowadzenia ostatecznych rozmów w sprawie powrotu zbiorów Ossolineum do kraju, różne miasta polskie zaczęły ubiegać się o zaszczyt goszczenia w swych murach ukochanego repatrianta. Każde miasto wysuwało inne argumenty. Każde zgłaszało swe pretensje do posiadania Ossolineum.

Zwyciężył jednak Wrocław. Wrocław — centrum kulturalne Dolnego Śląska. Wrocław, w którym przeważają lwowiacy. Wrocław wreszcie, ponieważ tamtejszy zespół profesorów z rektorem Kulczyńskim na czele potrafił odbudować uniwersytet, a więc daje gwarancję, że potrafi otoczyć odpowiednią opieką i Ossolineum.

Gmach, który przeznaczono we Wrocławiu dla zbiorów, pochodzi z XVII wieku. Zbudowali go rycerze krzyżowi z czerwoną gwiazdą, trudniący się pielęgnowaniem chorych. W cichej, spokojnej ulicy nad brzegiem Odry wzniósł się wielki, piękny gmach barokowy.

Działania wojenne nie oszczędziły barokowego klasztoru. Bomby zerwały dach. Ciężko poraniły mury dwupiętrowego gmachu. Uszkodziły stylową studzienkę, znajdującą się na dużym wewnętrznym dziedzińcu. Zasypały gruzem pilastry z jońskimi głowicami, kolumny i gzymsy. Ocalały **tylko stare drzewa na dziedzińcu, szemrzące prastare pieśni piastowskie.**

Nie było dziełem przypadku, że właśnie starożytny klasztor stał się **siedziba** Ossolineum. Stało się to ze względu na jego bliskość od uniwersytetu i wszystkich zakładów humanistycznych we Wrocławiu.

Remont gmachu nie jest jeszcze skończony. Coprawda klasztor znajduje się już pod dachem. Część sal odbudowano i oczyszczono z gruzów. Plan odbudowy przewidziany na rok 1947 wykonano w 110 proc. Ale upłyną jeszcze dwa lata, zanim znikną ostatnie ślady wojny. Zanim stuk młotów i kielni przestanie zakłócać powagę i ciszę w królestwie myśli i kultury polskiej. Zanim uczeni i uczący się będą mogli korzystać ze zbiorów ossolińskich w wielkich, przestronnych salach. Zanim Ossoliniacy będą w stanie pracować we wzorowo urządzonych pracowniach.

Nie wszystkie dzieła przybyły dotąd ze Lwowa. I nie wszystkie znajda się we wrocławskim Ossolineum. Ok. 1.500 skatalogowanych tomów w ogóle przepadło, gdyż bomby i pociski armatnie nie oszczędziły podczas wojny lwowskiego Ossolineum. Wiele ksiażek zamieniło się w stosy śmieci. Działania wojenne zniszczyły również część najcenniejszych zbiorów, jak rękopisy, inkunabuły i starodruki, które Niemcy ewakuowali ze Lwowa do Krakowa, a stamtąd do Adelina na Dolnym Śląsku.

Pomimo tych braków Ossolineum zajmuje przodujące miejsce w placówkach tego typu w Europie. Pomimo tych strat, ze skarbnicy kultury polskiej mogą już korzystać uczeni i uczący się. A Ossoliniacy (wszyscy dawni pracownicy), nie bacząc na brak miejsca i odpowiednich warunków, pracują z niezwykłym poświęceniem i oddaniem.

Ciężko jeszcze teraz pracować w salach bez wielu koniecznych urządzeń. Trudno przenosić książki z piętra na piętro. Ale stokroć ciężej i trudniej było przystąpić do rozpakowywania pierwszych pak zgrabiałymi od zimna rękami, ustawiać te książki na świeżo skleconych półkach, nie mając czasu ani na ugotowanie ciepłej strawy, ani nawet na zdobycie własnego mieszkania.

Chwilowo biblioteka mieści się w niewielkim pokoju, obliczonym zaledwie na 42 miejsca. Niewielkim, ale ciepłym. Na półkach stoją w równych, zwartych szeregach ksiażki już skatalogowane. I te słowniki, które już przybyły ze Lwowa. Około 60.000 tomów dostępnych jest już dla publiczności.

W salach na parterze, pracują Ossoliniacy i 8 studentów - stypendystów. Na podłodze piętrzą się stosy książek. Stoją skrzynie jeszcze nie rozpakowane.

*

Kto nie był na wystawie biblioteki na jesieni ub. r. ten nie może sobie nawet wyobrazić, ile społeczeństwo polskie jest winne Ossoliniakom za ich syzyfową wprost pracę. Za zabezpieczenie skarbnicy kultury polskiej. Za udostępnienie pożółkłych kart, pisanych ręką Małeckiego, Szajnochy, Bielowskiego, Kętrzyńskiego i innych szerokim rzeszom uczonych i uczących się.

Nie wolno nam zapominać, że przecież prace we Wrocławiu Ossoliniacy rozpoczynali tak, jakby poklasztorny gmach przy ul. Szewskiej miał być siedzibą nowopowstałej biblioteki.

Piękną była wystawa we Wrocławiu. Przemówiło do naszej wyobraźni pismo Kraszewskiego, równe, pospieszne, bardzo drobne podobne do czarnych, rozsypanych paciorków. I również drobne, ale z pewną tendencją do elegancji, w której przebija wpływ liter gotyckich — rękopis Wacława Potockiego „Woyny Chocimskiey". I śmiałe, wyraźne litery, układające się w przepiękną całość „Spartakusa" Norwida. I nerwowe, ostre litery, miejscami mało czytelne, które wyszły spod ręki Adama Mickiewicza.

Oto „Farys", który według legendy Mickiewicz. napisał w ciągu jednej nocy. Rzeźbione pismo Stefana Żeromskiego. „Księga Ubogich" Kasprowicza, pisana tak nieczytelnie, że przypomina hieroglify, a obok jego „Mater Dolorosa" pisana literami dużymi wyraźnymi upstrzona na marginesie niedokończonymi rysunkami.

Na rękopisach teatralnych Bałuckiego umieszczone są wizje przedstawienia, szkice sceny, rozrzucone wskazówki dla reżysera i aktorów. Rękopisy Słowackiego w rękach prof. Kleinera odsłoniły twórczość poety. Tajemnice Mickiewicza, zaklęte w „Panu Tadeuszu" zostały ujawnione dzięki Stanisławowi Pigoniowi.

Szelelszczą w gablotach karty, pisane ręką Sienkiewicza, Reymonta. Uśmiechają się zalotnie dawne piosenki ludowe. Nie brakowało i rękopisów twórców Ossolineum, jak Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Karola Szajnochy, Ludwika Bernackiego i innych.

Znalazł się również na wystawie nowy, wrocławski rozdział życia Ossolineum. A więc relacja turystyczna z Wrocławia Fryderyka Skarbka, odłam wrocławskiej twórczości Kasprowicza, niewspółmierna przy tamtych praca literacka Józefy Bakowskiej.

Wiek XVII, XVIII, XIX, dzieła drukowane i niedrukowane, teksty pisane przez niewiadomych autorów, bruliony i teksty przepisane na czysto. Nieudolne próby i próby zwiastujące talent. „Białe kruki" literatury polskiej.

*

Ossolineum we Wrocławiu nie jest wyłącznie martwym księgozbiorem, konserwującym działa dawne. Kompletuje ono i rzeczy nowe. Otrzymuje już ok. 120 bieżących czasopism. Pozatym stanie się poważną placówką wydawniczą.

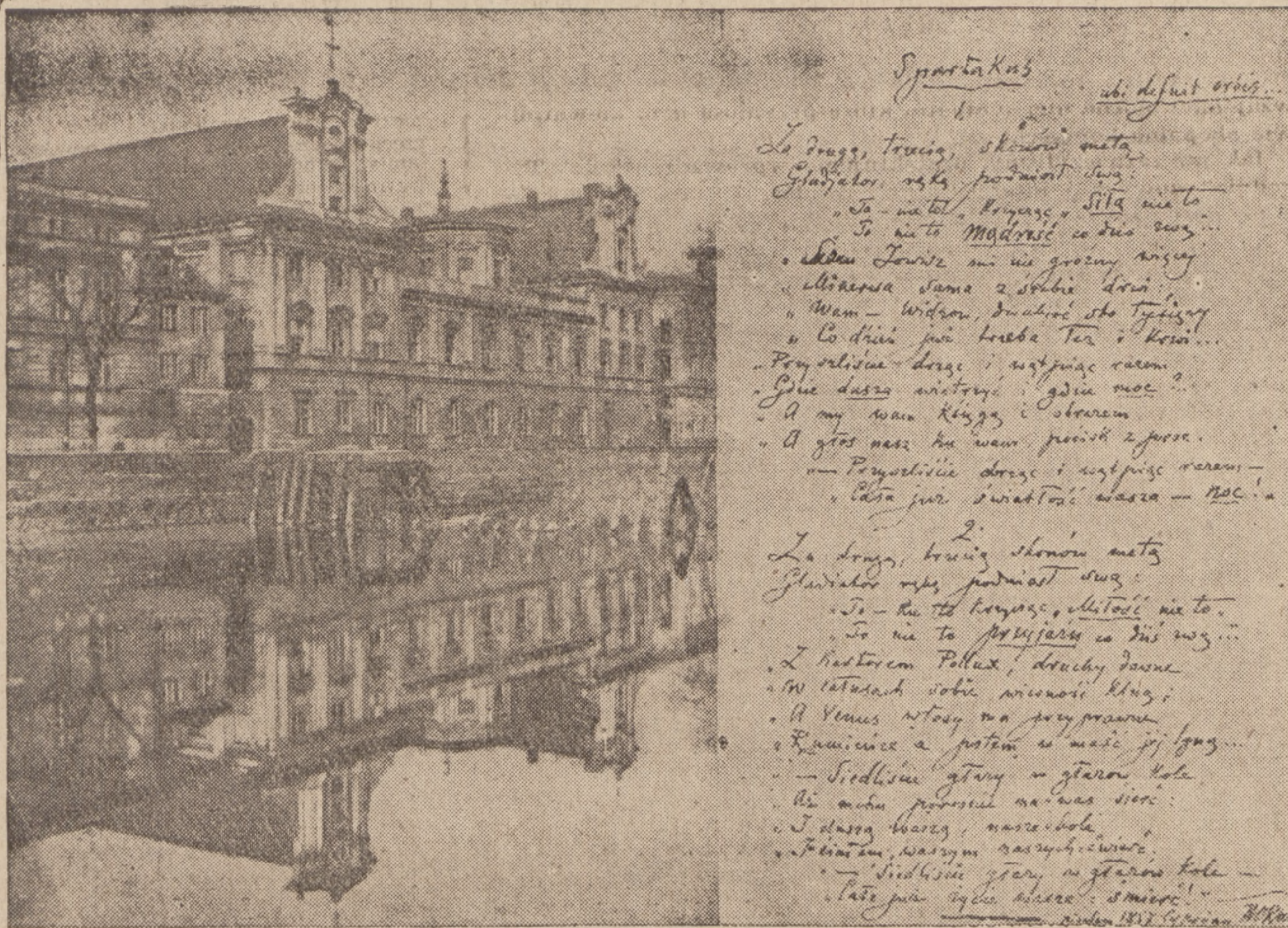
Program tanich wydawnictw (literatura piękna i prace naukowe) obejmuje m. inn. „Balladynę" i „Lillę Wenedę" Słowackiego, „Barbarę Radziwiłłównę" Felińskiego itd. Ocalały niektóre gotowe matryce. Jedyną trudność stanowi stara (sprzed 1936 r.) pisownia na matrycach.

Ponieważ z lektury tej korzystać będą w pierwszym rzędzie akademicy, Ossoliniacy na czele z dyrektorem naczelnym Ossolineum, Antonim Knotem, jednym z współtwórców Ossolineum wrocławskiego, uważają, że sprawa pisowni jest mniej ważna. A koszt takich wydawnictw, zaopatrzonych nowym wstępem — byłby znacznie tańszy. Tak zresztą brzmiała uchwała ostatniego zjazdu Związku Zawodowego Literatów Polskich. Ale Ministerstwo Oświaty nie wypowiedziało się jeszcze ostatecznie pod tym względem.

*

Ossolineum jest już w kraju. Otoczone miłością i szacunkiem całego świata kulturalnego nie tylko Wrocławia i Ziem Odzyskanych, ale całej Polski. Gdy remont poklasztornego gmachu będzie już gotowy, gdy sale biblioteczne znajdą się na właściwym miejscu i gdy przybędą do Wrocławia ostatnie transporty, wtedy dopiero społeczeństwo polskie zrozumie (i zobaczy) jak ogromną wdzięczność winne jest wszystkim tym, którzy przyczynili się do powrotu do kraju skarbnicy kultury polskiej.

Stefania Osińska



Z lewej: Gmach Ossolineum we Wrocławiu z prawej: fotokopia rękopisu Cypriana Norwida „Spartakus"

Odpowiedzi Redakcji

P. I. Siwak — Karczew k. Otwocka. Wspomnianych wycinków dotychczas nie otrzymaliśmy.

P. Ludwik Rękas — Łódź. Nowela nadesłana jest jeszcze słabo opracowana i bez większych przeróbek nie możemy jej drukować. Radzimy w tych sprawach zwrócić się o radę do Redakcji „Odrodzenia" Warszawa ul. Daszyńskiego 14.

P. Bydłowski w Miłosławiu. Podajemy wykaz tylko tych **dzieci, których** fotografie nie były jeszcze umieszczone w „Tygodniu". Te, które już były zamieszczone jasne jest, że zostały przyjęte.

P. W. Czajkowski — Brzesko. Dla nas niestety nie nadaje się.

P. Władysław Imielski — Wilkowice. Sprostowanie podaliśmy zaraz w następnym numerze „Tygodnia".

P. Stanisław Ostrowski — Gdańsk. Uwaga Pana jest zupełnie słuszna i nie przeszkadza, że „Tydzień" znajdzie się z tego powodu i z innych również w „Sklerozie".

P. Bolesław Polanowski — Pasym, pow. Szczytno. Za miłe i cenne uwagi bardzo dziękujemy. Postaramy się do nich zastosować.

P. Stefan Josek i P. Władysław Caputa — Żywiec, Lipowa. Za miłe życzenia bardzo dziękujemy.

P. Zb. Stasiłowicz — Bydgoszcz, ul. Jackowskiego 25. Uwagi Pana są bardzo cenne, i zostaną wyzyskane. Nie możemy dawać wszystkich zadań łatwych staramy się je urozmaicać i przeplatać łatwiejsze trudniejszymi, aby wszystkim dogodzić. Nie zawsze się nam to udaje.

P. Z. Kowalska — Kraków. Numer jubileuszowy „Tygodnia" będzie znacznie powiększony i mamy nadzieję, że będzie miłą rozrywką dla naszych Czytelników. „Rozrywka" następna jeszcze się nie ukazała, gdyż dotychczas nie uzyskaliśmy przydziału papieru. Pamiętamy o Pani i po ukazaniu się drugiego numeru, napewno go Pani prześlemy.

Józef Niemiec

BOJOWE ZADANIA SPÓŁDZIELCZOŚCI ROLNICZEJ

Jeżeli ogólnie można stwierdzić, że zaopatrzenie wsi polskiej w artykuły przemysłowe, nawozy, nasiona, maszyny rolnicze odbywało się w zasadzie dostatecznie ,to niestety nie da się tego samego powiedzieć o drugim pionie obrotów ze wsią, a mianowicie o skupie. Tak handel państwowy, który zresztą odcinkowo stykał się ze wsią jak i przede wszystkim spółdzielczość, która zgodnie z wyznaczoną jej przez 3-letni Plan Odbudowy rolą głównie winna zajmować się organizacją obrotu towarowego ze wsią — nie objęły skupem całości podaży rolniczej, rzucanej na rynki miejskie.

Czołowe pozycje w skupie zajęły elementy prywatno - kapitalistyczne, najczęściej spekulacyjne, wpływające na jego fluktuację, wywołując szkodliwe, nieuzasadnione zwyżki cen, w różnych okresach magazynując podaż dla celów spekulacyjnych. Natomiast wyniki spółdzielczości w skupie rolniczym są jak dotychczas bardzo małe. Przedstawiały się one w roku ubiegłym następująco:

W zbożu, przy produkcji 4.900 tysięcy ton, podaż rynkowa wyniosła około 1.000 tysięcy ton. Z tego spółdzielczość zakupiła na zasadach wolno - rynkowych zaledwie 200 tysięcy ton, czyli 20%. Udział ten w puli zbożowej podniósł się przez przyjmowanie podatku gruntowego na zlecenie Funduszu Aprowizacyjnego o 310 tysięcy ton. Nie mniej pozostało jednak około 50% podaży rynkowej zboża konsumcyjnego, nie objętego skupem handlu uspołecznionego.

W ziemniakach, przy produkcji 21 milionów ton, a podaży rynkowej 3,5 miliona ton, spółdzielczość objęła zaledwie 510 tys. ton, czyli 16%.

W mleku, produkcja wyniosła 3.900 milionów litrów, podaż rynkowa 1.200 milionów, skup przez spółdzielczość 391 milionów litrów, czyli 40,7%.

W maśle — produkcja 45 tys. ton, podaż rynkowa 22 tys. ton, spółdzielczość skupiła 11,2 tys. ton, czyli około 51%.

W jajach — przy produkcji 60 tys. ton, podaż rynkowa 40 tys., ton spółdzielczość skupiła 8 tys. ton, czyli zaledwie 20%.

W mięsie — produkcja 250 tys. ton, (ubój kontrolowany), podaż rynkowa wyniosła 220 tys. ton, spółdzielnie i „Rolmięs" skupiły 54 tys, ton, czyli 25%.

W owocach — przy produkcji 450 tys .ton, podaż rynkowa 180 tys. ton, skup spółdzielczy 20 tys. ton, czyli około 12%.

W warzywach — produkcja 1.500 tys. ton, podaż rynkowa 500 tys. ton, skup spółdzielczy wyniósł 50 tys. ton, czyli 10%.

Z przytoczonych cyfr wynika, że uspołeczniony handel rolniczy obejmuje zaledwie niewiele ponad 10 — 20% produkcji rolniczej rzucanej na rynek. Trochę lepiej chociaż też niedostatecznie, przedstawia się tylko w skupie masła i mięsa. W skupie owoców i warzyw wyniki są bardzo nikłe. Nie lepiej jest w skupie siana, strączkowych, oleistych itd.

Po zbiorach w roku bieżącym — w związku ze zmniejszeniem się odłogów, zwiększeniem upraw, należytym zaopatrzeniem rolnictwa, zwiększoną mechanizacją i korzystnymi warunkami naturalnymi, wykluczającymi klęskę nieurodzaju — przewiduje się poważne zwiększenie podaży rolniczej. Tym większe zadania wyrastają przed spółdzielczością rolniczą, tym bardziej winna się ona do nich należycie przygotować. Czy istnieje realna możliwość uwielokrotnienia pozycji spółdzielczości w skupie? Niewątpliwie tak.

Wielce może ułatwić to zadanie dokonana z inicjatywy samych spółdzielców przebudowa struktury spółdzielczości. Sfuzjonowanie 4.770 spółdzielni spożywców na wsi z 2.600 Gminnymi Spółdzielniami S.Ch. dało w wyniku około 3 tys. mocnych gminnych spółdzielni handlu rolniczego z około siedmioma tysiącami punktów handlowych. W miejsce dawnych spółdzielni rolniczo - handlowych, już funkcjonuje 300 Powiatowych Związków Gminnych Spółdzielni i 200 ich filii — mocnych punktów skupu. Może to i powinien być silny aparat społecznego skupu Centrali Rolniczej Samopomocy Chłopskiej, dostarczający także płodów rolnych innym branżowym centralom. Nie gorszy posiada aparat Centrala Mleczarsko - Jajczarska, która ma już za sobą poważne sukcesy w zakresie skupu i eksportu jaj zagranicę. Najmłodsza wiekiem Centrala Ogrodnicza, której słusznie należy pomóc, mozolnie przygotowuje się do objęcia nieopanowanego dotąd i zupełnie dziewiczego terenu owocarsko - warzywniczego, na którym marnowało się corocznie dla gospodarki narodowej setki milionów złotych. Objęła ona już znaczną część przetwórstwa owocarskiego i przygotowuje się intensywnie do sezonu. Obecnie prowadzi 14 dużych zakładów tej branży, organizuje sieć własnych oddziałów i inicjuje powstawanie spółdzielni owocarsko - warzywniczych dla całkowitego opanowania zagadnienia.

Inne centrale branżowe spółdzielcze i spółdzielczo - państwowe, jak również przedsiębiorstwa państwowo-spółdzielcze przystąpiły już do opracowania wielkiego planu skupu i zaopatrzenia. Państwo będzie mogło przyśpieszać ten proces obejmowania całości podaży rolniczej przez spółdzielczość, udzielając centralom branżowym specjalnych uprawnień, koncesjonując skup, (np. zbóż przez Polskie Zakłady Zbożowe), czy też nadając im prawa monopolu.

Zachodzi przy tym poważna potrzeba sfinansowania obrotu towarowego, a w szczególności zaplanowanego skupu. Potrzeby w tym zakresie Gminnych Spółdzielni S.Ch. i ich Powiatowych Związków już dzisiaj w przybliżeniu można obliczać w ten sposób, że będą one wymagały zwiększenia kredytów bankowych na trzeci kwartał br. o ca 4 miliardy złotych. Możliwości technicznego przygotowania się do akcji istnieją, gdyż Ministerstwo Przemysłu i Handlu w planie inwestycyjnym na bieżący rok przewidziało na inwestycje dystrybucyjne (magazyny, elewatory, punkty handlowe, urządzenia chłodnicze i transport) 2,7% ogółu wydatków w sumie 4,5 miliarda złotych — nie mówiąc o 5,5 miliardach, uchwalonych przez Radę Ministrów w marcu br. na inwestycje dla państwowego aparatu handlowego, a pochodzących z własnych jego środków.

Nie obejmowanie dotychczas całości, względnie większości, obrotu produktami rolniczymi było przyczyną, że spółdzielczość rolnicza, wszystkie jej centrale, miała dotąd i ma nadal dużo mniejsze obroty od spółdzielczości spożywców.

Stąd też mniejsza kumulacja własnych kapitałów, dużo mniejsze możliwości wypracowywania własnych nadwyżek i mniejszy stosunkowo jej rozwój — by nie wspomnieć o innych poważnych trudnościach organizacyjnych, istniejących przed dokonaną reorganizacją. Inną, uprzywilejowaną pozycję ma miejska spółdzielczość spożywców, działająca w innych warunkach, współpracująca z unarodowionym przemysłem jako jedynym dostawcą, odbierająca nawet 70—80% całej produkcji niektórych artykułów, przy ustalonych przez M.P. i H. stosunkowo jeszcze wysokich marżach zarobkowych.

Wykonanie przy pomocy Państwa Ludowego bojowego zadania, stojącego przed spółdzielczością rolniczą w zakresie pełnego zaopatrzenia wsi, a w szczególności w opanowaniu całości podaży rolniczej, pozwoli w niedługim czasie rozwinąć się jej z dużym rozmachem i usunąć istniejące dysproporcje w stosunku do spółdzielczości miejskiej.

20 lat pracy pod tęczowym znakiem
w Miechowie

W roku bieżącym przypada dwudziesta rocznica istnienia i działalności Oddziału Powiatowego „Społem" w Miechowie, ul. Sienkiewicza 20. Zorganizowany w 1928 roku przetrwała tylko jeden dzień, bo już na u schyłku której mocno ucierpiał, działania wojenne bowiem zniszczyły magazyny Oddziału, a wojska hitlerowskie częściowo rozgrabiły towary. Przerwa w pracach Oddziału trwała tylko jeden dzień, bo już na zajutrz po wkroczeniu Armii Czerwonej przystąpiono do pracy, zaspakajając potrzeby aprowizacyjne miasta i powiatu.

Siedziba Oddziału mieści się w pobliżu stacji kolejowej w wydzierżawionym niewielkim budynku, który zupełnie nie odpowiada potrzebom biura, jest bowiem stanowczo zbyt szczupły i niewygodny.

Kierownik Oddziału, ob. Mazur Feliks prowadzi w tej chwili pertraktacje o wydzierżawienie znacznie wygodniejszego budynku w centrum miasta, w pobliżu Rynku, gdzie w niedalekiej już przyszłości przeniesione zostanie biuro.

Dotychczasowa siedziba biura Oddziału zamieniona zostanie wtedy na magazyny. Te ostatnie, stanowią największą bolączkę Oddziału. Jest ich trzy w trzech różnych punktach miasta. Pierwszy z nich, dzierżawiony od Związku Samopomocy Chłopskiej", a stanowiący własność Państwa przeznaczony w najbliższej przyszłości będzie do magazynowania zboża. W związku z tym Oddział będzie musiał z niego zrezygnować. Drugi magazyn grozi zawaleniem i już obecnie Kierownictwo Oddziału stopniowo go opróżnia, aby w ten sposób uniknąć zniszczenia nagromadzonych w nim towarów. Taki stan rzeczy zmusił Kierownictwo do poszukiwania nowych magazynów. W wyniku tych poszukiwań prowadzone są w tej chwili pertraktacje o wydzierżawienie odpowiedniego budynku. Do niedawna Oddział zatrudniał 57 pracowników. Jedenaście osób zwolniono, stan zatrudnienia wynosi obecnie 46 osób.

Oddział prowadzi towary kolonialno - spożywcze, artykuły gospodarstwa domowego, materiały budowlane, towary tekstylne (komercyjne, przydziałowe, akcji przemysłu dla wsi i akcji skupu zboża), artykuły monopolowe (papierosy, sól, zapałki, drożdże i wyroby P.M.S.). Posiada hurtownie: PMS soli i PMT w Miechowie i 2 hurtownie PMT w powiecie przy spółdzielniach w Proszowicach i Słomnikach.

Obroty Oddziału z 35 milonów zł w 1945 r. wzrosły do 282 milionów zł w 1947 r. (plus wyroby PMS — 154 milionów zł).

Za pierwszy kwartał rb. obroty dały 70 milionów zł plus wyroby PMS — 47 milionów zł. Obroty szlachetne wynoszą 70 proc. ogólnych obrotów.

Powiat liczy 180.000 mieszkańców, jest wybitnie rolniczy. Przed unifikacją w powiecie istniało 126 spółdzielni różnych typów, a w tym 83 — spożywców. Obecnie po unifikacji jest 4 spółdzielnie spożywców, 15 mleczarsko - jajczarskich, 1 księgarsko - papiernicza, 1 — pracy i 24 gminne „Samopomoc Chołpska", które ostatnio zrzeszyły się w Powiatowym Związku. Rada Oddziałowa pracuje bardzo wydatnie. W czerwcu br. zwołana zostanie konferencja gospodarcza przedstawicieli Oddziału „Społem" i delegatów Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", która ustali wytyczne dalszej współpracy.

(K)

Z ŻYCIA SPÓŁDZIELNI „OSZCZĘDNOŚĆ"
w Mińsku-Mazowieckim

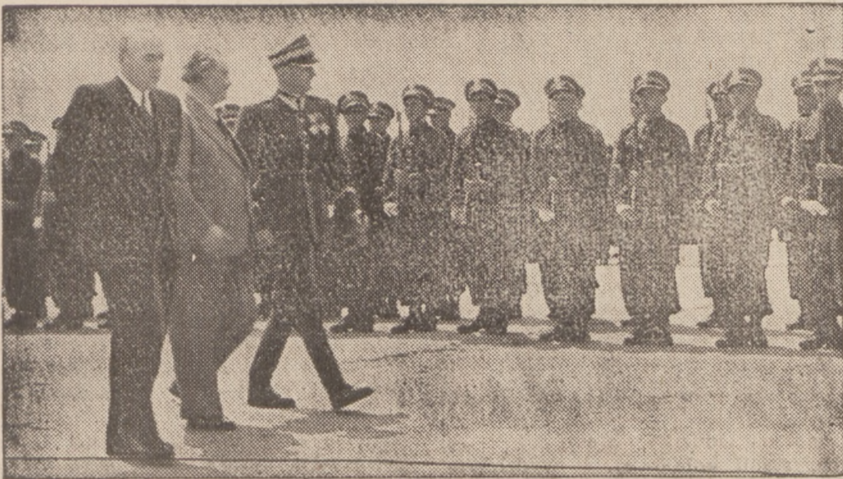
Spółdzielnia Spożywców „Oszczędność" w Mińsku Mazowieckim ul. Swurczewskiego 23, nowstała w 1905 r. Obecnie Spółdzielnia zrzesza około 1000 członków i prowadzi piekarnię mechaniczną o rocznym wypieku 1 miliona kg chleba i 10 sklepów. Obroty Spółdzielni w 1947 r. dały kwotę 120 milionów zł. a w pierwszym kwartale br. wyniosły 35 milionów zł. Jeszcze w br. Spółdzielnia zamierza kosztem 7 milionów zł wybudować własny gmach, w którym znalazłyby pomieszczenie jej biura, magazyny i Spółdzielczy Dom Towarowy. Na jubileusz 50-lecia swego istnienia, co nastąpi w 1955 r. Spółdzielnia zamierza wybudować społeczno - spółdzielczy dom, który będzie ośrodkiem kultury i wychowania spółdzielczego dla całego powiatu. (K)

Film TYGODNIA



Do Warszawy przybyła delegacja bułgarska z Premierem Dymitrowem na czele. Na lotnisku delegację witał Premier Cyrankiewicz, wicepremierzy, członkowie Rządu, Armii, partii politycznych i organizacji młodzieżowych

Premier Dymitrow przemawia przez Radio do słuchaczy polskich



Na zdjęciu Premier Dymitrow w towarzystwie Premiera Cyrankiewicza i Marsz. Żymierskiego przed frontem kompanii honorowej



Procesja Bożego Ciała w Żywcu



Walki w Palestynie nie ustają. Na zdjęciu: żołnierze Haganah

100 WIERSZY O SPORCIE

PUBLICZNOŚĆ LICZNIE PRZYBYŁA na korty Legii na pierwszy w sezonie międzynarodowy mecz tenisowy Praga — Warszawa, długo oczekiwała na pojawienie się zawodników na korcie. Kiedy wreszcie przybyli z godzinnym opóźnieniem, okazało się, że tak długo goszczono ich na bankiecie w Katowicach, iż spóźnili się na nocny pociąg, a do Warszawy przyjechali w godzinę po wyznaczonym terminie spotkania i oczywiście, niezdolni do gry, bo nie... wywietrzała im jeszcze z głów „gościnność" katowicka. Nawiasem warto dodać, że międzynarodowość meczu, któremu w następnych dniach ciągle przeszkadzała niepogoda, polegała tylko na tym, że goście pochodzili z Pragi, natomiast co wytrawniejsi gracze zrejterowali z Katowic z powrotem do domu.

GOŚCINNOŚĆ NASZA MA OSOBLIWY CHARAKTER. Dobrze przyjrzałem się jej w wyścigu kolarskim z Pragi do Warszawy. Polegała ona na tym, że miejscowe komitety po oficjalnej kolacji zapraszały officielów na nieoficjalną lampkę wina. „Lampka" szybko przybierała kształt kieliszka, a „wino" zamieniało się po prostu w wódkę. „Lampka wina" kończyła się z reguły nad ranem, a nazajutrz officiele mieli następny etap, gdzie na mecie oczekiwała ich znów „lampka wina" od gościnnych gospodarzy. Dla nadania powagi tej ceremonii zazwyczaj nazywano ją staropolską gościnnością.

Podobnie staropolskiej gościnności musieli doznać „niedobitki" tenisistów praskich, kiedy po przybyciu do Warszawy oświadczyli, że nie mogą grać, przy czym dla większego zobrazowania swej niemocy pokazywali na żołądek i mówili słowo „bankiet".

Warto byłoby zreformować nieco naszą gościnność, gdyż w przeciwnym razie cudzoziemcy będą sobie ją opatrznie tłomaczyli...

KONSEKWENCJĄ OBFITOŚCI IMPREZ SPORTOWYCH są liczne nagrody. I słusznie, bo w sporcie amatorskim przyjęta jest forma nagród nie-pieniężnych, za trudy i wysiłki sportowców. Rodzaj nagród często jednak jest niewłaściwy. Kielas, który wcale nie ma zamiaru przerzucić się z lekkoatletyki na tenis, ma kłopot, co zrobić z rakietą, którą ofiarowano mu w Łodzi. Ale z rakietą jeszcze pół biedy. Gorzej jest, z papierośnicą, którą harcerz Kargier otrzymał na łódzkim bokserskim turnieju przedolimpijskim. Może chciałby oddać ją swemu ojcu, ale nagrody nie można przecież ani darować, ani zastawić, ani sprzedać. Wobec tego, czy będzie musiał tak długo przechowywać ją, aż... zachęci się do palenia papierosów? Są jeszcze i inne nagrody: wino i likiery. Te zpewnością kończą swoją rolę na bankiecie... Dobrze byłoby, aby nasze władze sportowe uregulowały rodzaj nagród jakimś okólnikiem.

TURNIEJ BOKSERSKI W ŁODZI w dwóch wypadkach zaniepokoił mnie. Zagórski, który przed kilku tygodniami zdobył tytuł mistrza Polski po 20 kilku walkach, odbytych dotychczas, został w Łodzi dwukrotnie znokautowany. Po mistrzostwach było wiele głosów, które zwróciły uwagę na niezwykle szybkie tempo powodzenia Zagórskiego i ostrzegały przed skutkami jego dalszej kariery. Owe 2 knock-outy na ringu łódzkim trafiają nie tylko w samego Zagórskiego, ale również w jego klub i opiekunów. Z treningiem nie wszystko widocznie było w porządku.

Drugi wypadek jest niemniej przykry: oto jacyś młodzieńcy zorganizowali po meczu napad na sędziego Załatkę. Rzucono w niego cegłą i Załatka ma odbitą nerkę. W szowiniźmie klubowym posunęli się oni zbyt daleko i warto byłoby opublikować ich nazwiska z komentarzem „szkodnicy sportu". Może powstrzymałoby to innych w łobuzerskich wybrykach.

Miniony tydzień był obfity w smutne incydenty, ale były również i radosne wydarzenia. Takim np. był **REKORD POLSKI ŁOMOWSKIEGO** w rzucie dyskiem. Miotacz nasz również i w kuli przekroczył minimum potrzebne na czwarte kółko olimpijskie, co przed tygodniem na tym miejscu przepowiadałem mu. W ten sposób lekoatletyka nasza ma pierwszego „murowanego" kandydata na olimpiadę do Londynu.

Z. W.

PONAD 3000 DZIECI

W NASZYM KONKURSIE

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"

Zgórą 3.000 zdjęć dzieci zgłoszonych zostało do naszego konkursu, z których zaledwie około 200 fotografii, jako absolutnie nie nadających się do reprodukcji zwrócimy adresatom w najbliższym czasie. Pozostałe zdjęcia odpowiadające reprodukcyjnym wymaganiom drukarskim, zamieszczać będziemy kolejno co tydzień w numerze „Tygodnia". Głosowanie czytelników odbędzie się po ukończeniu druku zakwalifikowanych fotografii konkursowych ,a więc jesienią br. Poczynając od numeru 16 (92) tj. od dnia 1 maja br. zamieszczamy we wszystkich numerach „Tygodnia" kupony plebiscytowe ,które należy wycinać i zbierać, by później w okresie głosowania przesłać je wszystkie razem w jednej przesyłce do naszej redakcji.

Ponieważ Czytelnicy interesują się, czy ich „pociechy" znajdą się na łamach „Tygodnia" — podajemy na str. 14 drugą listę zdjęć zakwalifikowanych do druku. Dalsze wykazy zdjęć przyjętych — w numerach następnych.

Dziś wycinamy kupon Nr 6.

KUPON PLEBISCYTOWY Nr 6 w KONKURSIE »NAJMILSZE DZIECKO TYGODNIA«

Najmilszym dzieckiem w konkursie jest moim zdaniem:

Nr ______________________________

____

(tu wpisać konkursowy numer fotografii i podpis pod nią drukowany)

którego zdjęcie było reprodukowane

w Nr __________ „TYGODNIA"

Wyciąć i zachować! Kupony z pewnych numerów „Tygodnia" będą w plebiscycie uprzywilejowane, wobec czego korzystne dla głosujących będzie zebranie pełnego ich kompletu.

W SPRAWIE „DOMU 7-miu BOLEŚCI"

Gdy przeczytałem wspomnienie Miecia Ziemskiego z jego pobytu w szpitalu, przypomniałem sobie, jak serdecznie mu współczułem, ujrzawszy go w parę dni po jego powrocie z tego przybytku boleści, i jak współczułem kiedyś memu przyjacielowi Wacusiowi, który choć bardzo mu to było potrzebne, nie mógł się tam dostać. Teraz rozumiem, iż przyczyną jego niepowodzeń była zupełna nieznajomość „świata i obyczajów" życia szpitalnego.

Oto smutna historia wzajemnego niezrozumienia instytucji zdrowotnej i człowieka cierpiącego.

— Widzisz, ja z natury chorowity jestem. No, ale jak tu być zdrowym w takich warunkach: teściowa cholera, żona gorsza od zarazy, dzieci jak morowe powietrze, wódki nie dają na lekarstwo, i w dodatku — nad Odrą mieszkamy.

Jak tu nie chorować, jak pragnę zdrowia. Koledzy mi powiedzieli: musisz do lekarza.

Poszedłem więc do szpitala.

Lekarz pyta, czy u mnie jest wyrostek i czy mi dokucza.

Mówię mu, że jest dwóch i rady sobie z nimi dać nie mogę.

— Jakto dwu?

— Dwu, bo trzecia na szczęście córka.

To on mówi, że nie pyta o dzieci tylko o wyrostek robaczkowy. Czy mi nie dokucza.

Mówię: „Nie".

— Wycięty?

— Nie. Utopiłem drania.

— Jak to — utopił pan?

Tłumaczę mu, że dbam o zdrowie i dlatego robaka regularnie zalewam.

— A serce?

— Serce normalne. Od urodzenia mam serce do wódki.

— Zbadamy.

— Proszę bardzo.

— Niech pan siada.

Siadłem.

— Proszę wiosłować.

To wiosłuję. Wiosłowałem tak z dziesięć minut.

— Dość. Ale pan się nic nie zmęczył!

— Nie mogłem się zmęczyć panie doktorze, bo ja z zamiłowania sportowiec jestem— wioślarz, i dopiero po dwudziestu kilometrach się męczę, to znaczy, u pana doktora gdzieś pod wieczór.

Wyrzucili mnie. Nie dałem za wygraną i poszedłem do następnych drzwi. Napisane było na nich „Nerki" i ogonek stał.

Wychodzi lekarz i mówi: „Którzy z panów piersi, to proszę".

Myślę sobie dobrze trafiłem, bo mnie od paru dni czkawka męczy, to piersi warto zbadać. Pyskowali na mnie, że poza kolejką, ale wszedłem.

Lekarz mówi: „Proszę zdjąć spodnie".

Myślę sobie, kobieta rzadko kiedy ma takie duże piersi, żeby je można było przez dolną garderobę badać, ale widocznie chłop wie co robi.

A on zaczyna jakoś z tyłu. Trudno. Jeżeli droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek, to dlaczego piersi nie można badać przez nerki.

Lekarz popukał i mówi: „Czy pan wie, że pan ma kamienicę?"

— Kamienicę? Niemożliwe!

— Tak. I to dziedziczną.

— Wolne żarty, panie doktorze. To mieszkanie nawet, które mam, jest służbowe, a ojciec żadnych nieruchomości poza sparaliżowaną babcią, nie posiadał. Babci nie odziedziczyłem, bo zmarła, a własnej kamienicy napewno się nie dorobię.

Wyrzucili mnie. Ale skąd mogłem wiedzieć, że „Kamienica" to akurat choroba nerek. Nie dobrze się jednak czułem, więc poszedłem do następnych drzwi.

Czytam: „Informacja". No, nareszcie się dowiem co mi dolega. Wchodzę.

— Obywatel czego?

— Niedobrze się czuję i w ogóle.

— Ogólnie?

— Ogólnie na ogół nieźle, najgorzej w domu.

— Choroba?

— Gorzej. Cholera.

Podskoczyli.

— Cholera? Niemożliwe! Kto zachorował?

— Nikt nie zachorował. Teściowa cholera.

Wyrzucili mnie. Nie czułem się dobrze, poszedłem do następnych drzwi.

Czytam: „Siostra".

Chociaż nie moja, ale myślę sobie, z całej rodziny najlepiej się człowiek z rodzeństwem zawsze dogada.

Wchodzę. Niczego blondynka. Pytam, gdzie tu leczą.

— A pan pierwszy raz?

— Pierwszy.

To ona mówi tak: „Skręt kiszek — na prawo, opuszczenie jelit — w podziemiach, hemoroidy — wejście od tyłu, zaburzenie żołądkowe — pawilon przy stołówce, dolegliwości sercowe— Urząd Stanu Cywilnego przy Zarządzie Miejskim, choroby umysłowe — skasowane, bo to szpital dla pracowników fizycznych, biegunka — w drugim końcu miasta, a jeżeli nagły wypadek i trzeba natychmiast pomóc, to musi pan poczekać dwa tygodnie, bo ten lekarz wyjechał na urlop i wcześniej nie wróci.

Nagła krew mnie zalała więc powiedziałem, że ja właśnie za dwa tygodnie.

Wyszedłem. Nie czułem się jednak dobrze, więc idę do następnych drzwi. Nie było napisu.

Wchodzę. Sześć łóżek stoi i czterech chorych leży. Spali wszyscy i prześcieradłami się aż na głowy ponakrywali, bo cholerne muchy w tym pokoju były. Zdziwiło mnie trochę, że przy każdym łóżku świece się paliły, ale myślę sobie z żarówkami klepsko, to i szpitale ich pewno nie mają. Znalazłem wolne łóżko, zdjąłem buty i cicho się kładę, żeby chorych nie zbudzić. Nakryłem się prześcieradłem na głowę, myślę sobie, pośpię trochę, a gdy lekarz przyjdzie to mnie zbada. Nie zdążyłem zasnąć, a tu drzwi się otwierają, ksiądz i kupa ludzi wchodzi. Pewno rodzina w odwiedziny. Poszli do ostatniego i w płacz.

Ksiądz komżę założył i coś tam robi. Myślę sobie, dziecko się urodziło i chrzcić będą. A że płaczą, to pewno dlatego, że spodziewali się chłopca, a tu dziewczynka na świat przyszła.

Leżę cicho żeby nastroju rodzinie nie psuć, i serdecznie jej współczuję, choć sam wiem, że z chłopakami to potem więcej kłopotu. Nagle widzę, a tu taki mały pętuś z tej familii, do mego łóżka podchodzi i za buty łapie.

Nie wytrzymałem.

Poderwałem się na łóżku i „szoruj stąd pętaku", krzyczę.

Co się wtedy zaczęło? Czy za głośno krzyknąłem, czy co, bo cała familia wrzasku narobiła, kobiety pomdlały, reszta do drzwi, ksiądz się w komżę zaplątał, świece poprzewracali. Sądny Dzień i Koniec Świata!

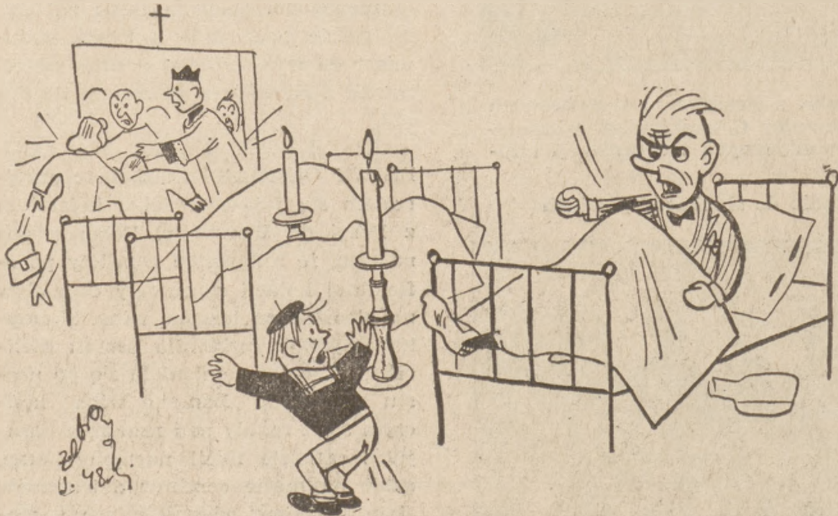
Nie musiałem jednak krzyknąć za głośno, bo ta reszta chorych dalej spała spokojnie i ani jeden się nie ruszył. Chciałem się znów położyć, a tu sanitariusze wpadli, za kołnierz mnie złapali, i tymi tylnymi schodami od hemoroidów, na złoty łeb mnie wyrzucili.

Chciałem się jeszcze po kamasze wrócić, to mi nawymyślali od świętokradców, że niby nieboszczyków znieważam. Dopiero wtedy się kapnąłem, że w trupiarni byłem. Ale skąd mogłem wiedzieć, że to nie chorzy, a nieboszczyki, jak żaden nie odezwał się co za jeden.

Już mnie nigdy więcej do szpitala nie wpuścili, i jak widzisz, sam się leczyć muszę. Zioła mi. Mówię ci, nic tak nie pomaga jak małosolny ogórek świeża rzodkiewka, grzybki w occie, lub korniszony. Ale nie za dużo. Umiar, rzecz wskazana. Grzybek pod „jednego", pęczek rzodkiewek pod „ćwiartkę" wódki. Może się wyleczę.

Tak wygląda opowieść Wacusia o jego przygodach w domu 7-iu boleści, nad którą siedmiokroć bolałem, bo tyle razy mi ją przy wspólnej „kuracji" onowiadał.

Ziemowit Kuniński



Nie wytrzymałem. Poderwałem się na łóżku i „szoruj stąd pętaku" krzyczę

Spółdzielnia Spożywców w Jędrzejowie rozwija się

Spółdzielnia Spożywców z o. u., w Jędrzejowie, plac Tadeusza Kościuszki nr 20, istnieje od 1936 r. Zrzesza 320 członków i zatrudnia 11 pracowników. Prowadzi 5 sklepów, a w tym: 2 spożywcze, 1 włókienniczy, 1 cukierniczy, i 1 — z wyrobami PMS. Projektowane jest jeszcze w br. otwarcie sklepu z zabawkami i artykułami gospodarstwa domowego. Obroty Spółdzielni w r. 1947 dały kwotę 99.646.000 zł, a w pierwszym kwartale br. przyniosły 27.556.000 zł. Czysta nadwyżka w 1947 r. — wynosiła 2.212.000 zł, a tytułem zwrotu od zakupów wypłacono członkom w tym samym roku 78.384 zł. Spółdzielnia zaopatruje się w towary w 987% w miejscowym Oddziale „Społem". Zarząd Spółdzielni stanowią ob. ob. Zofia Wielińska kierowniczka, Bolesław Żelaskiewicz — skarbnik i Tadeusz Antoniewicz — sekretarz. W skład Rady Nadzorczej wchodzą przedstawiciele świata pracy różnych zawodów z prezesem Piotrem Piątkiem na czele. W najbliższym 3-letnim okresie Spółdzielnia zamierza wybudować i uruchomić własną piekarnię mechaniczną. W tej chwili zawierana jest umowa kupna dla tej piekarni odpowiedniego placu.

GAWĘDY O DAWNEJ WARSZAWIE

Penetracja Niemców w Warszawie przed 30 laty

Maj 1915 r. Ofensywa austriacko-niemiecka, której szczytowym momentem był bój pod Gorlicami, przesądziła na niekorzyść Rosji kampanię 1915 r., a jednocześnie przesądziła los Warszawy. Kolejno padają dn. 3 czerwca Przemyśl, 22 czerwca Lwów, do formalnej okupacji Warszawy pozostaje zaledwie kilka tygodni.

Właściwie, penetracja Warszawy przez Niemców zaczęła się — choć to może wydawać się nieco dziwne — na długo przed pierwszą wojną światową.

Od września 1905 r., to jest od chwili gdy na stanowisko generał - gubernatora zamianowany został generał von Skałłon, penetracja Niemców na terenie b. Kongresówki, a zwłaszcza Warszawy zawrotne przyjmuje tempo. Skałłon, właściciel dóbr w prowincjach nadbałtyckich, wysoki urzędnik rosyjski, był Niemcem z krwi i kości. Żona jego, również Niemka, nie władała nawet znośnie językiem rosyjskim. W domu mówiono przeważnie po niemiecku. Poufnym doradcą Skałłona był warszawski konsul niemiecki — Brück.

Skałłon w krótkim czasie skupił około siebie na kierowniczych stanowiskach zdecydowanych wrogów Polaków. Gubernatorem Warszawy był baron Korff, zastępcą — baron von Essen, oberpolicmajstrem — Mejer, szefem żandarmerii — von Uthof, prezydentem miasta — Miller. Na wszystkich poważniejszych stanowiskach znaleźli się Niemcy mający dostęp do najtajniejszych aktów. Rzecz zrozumiała, że tego rodzaju obsada miała specjalny cel polityczny, który realizowany zostanie w 10 lat później tj. w r. 1915.

W Warszawie rządzili Niemcy w mundurach rosyjskich. Ich zadaniem było niedopuścić do jakiegokolwiek wyrównania zatargów polsko - rosyjskich, a tej dyrektywy czerpiącej swe natchnienie w Berlinie trzymano się ściśle. Już z początkiem wojny krzyżowano i wypaczano wszelkie zarządzenia (nawet najwyższych władz wojskowych), które były sprzeczne z generalną, antypolską koncepcją Berlina. Do curiosów należy fakt, że von Essen zabronił plakatowania w Warszawie odezwy do Polaków, wydanej przez naczelnego wodza wojsk rosyjskich.

Książę Kurakin, który bezpośrednio wejrzał w te machinacje, wysłał do Petersburga alarmujący raport, że na liście biurokracji warszawskiej figurują nazwiska samych Niemców, i że ci krzyżują plany i zamiary dowództwa wojskowego. Zazwyczaj wrogo do Polaków usposobiony dziennik moskiewski „Nowoje Wremia" wydrukował wierszowaną listę dygnitarzy i urzędników niemieckich Warszawy. Wywołało to wprawdzie w opinii rosyjskiej duże wrażenie, von Essen i Uthof zostali odwołani, ale istoty rzeczy nie zmieniło: wszystkie nici politycznego i gospodarczego życia Warszawy znajdowały się w rękach niemieckich i — rzecz naturalna — znane były sztabowi armii cesarsko - niemieckiej.

Temu też przypisać należy, że po zajęciu Warszawy władze okupacyjne niemieckie postępowały tak, jakgdyby od lat tutaj przebywały. Nie było dla nich żadnych tajemnic.

Rządy Rosji nacjonalistycznej, obsadzając elementem obcym niemieckim, zdecydowanie wrogim Polsce wszelkie odpowiedzialne stanowiska u siebie, w cesarstwie, a w szczególności w Polsce tworzyły jednocześnie jeden z zasadniczych czynników swego upadku. Świadomość tego niebezpieczeństwa zjawia się w społeczeństwie rosyjskim późno. Niemal w przeddzień upadku Warszawy poseł Jewsiejew na posiedzeniu Dumy Państwowej mówi: „Nie bezpieczeństwo istnieje nie tylko na froncie. Mamy do czynienia z pokojowym podbojem Państwa przez Niemców, a podbój ten jest straszniejszy, niż oręż wroga. Pomimo, że toczy się wojna, nie możemy wywłaszczyć poddanych mocarstw wrogich. W przemyśle, w administracji urzędów jest mnóstwo Niemców". I istotnie tak było. Było ich mnóstwo, a zwłaszcza w Warszawie. **Varsoviensis**

„ŻELAZNY CZŁOWIEK”



Szymon Konarski

PO UPADKU powstania listopadowego, nieliczni demokraci chcieli dowieść, że to nie Polska upadła, a tylko jej powstanie i to dlatego, że zryw zbrojny nie pociągnął całego narodu, że nie towarzyszyła mu równość społeczna dla wszystkich obywateli.

Trzeba było długiej i wytrwałej pracy, by zniszczyć w sercach i umysłach wielu Polaków te przesądy i te pojęcia, które przyczyniły się do naszej wieloletniej niewoli.

A kto złożył pierwszy świadectwo, że to nie Polska upadła?

Oto, zostawiony sam sobie żołnierz polski na rynku w Fiszawie; otoczony pruskimi szwadronami; oto jeniec, umierający pod kijami w Kronsztadzie; oto prosty i wprost od radła i kosy oderwany wieśniak polski przykuty do fortecznych taczek w Gdańsku i w Grudziądzu; oto młody podchorąży, Szymon Konarski, męczony w okrupny sposób i rozstrzelany w Wilnie na Pohulance i długi szereg bojowników, których nikt nazwisk nawet nie pamięta.

Szymon Konarski urodził się w roku 1807 w Augustowskim, szkoły kończył w Sejnach, a w 1825 r. wstąpił jako ochotnik do 1-go pułku strzelców pieszych wojska polskiego.

Wiemy, jaki duch wyrabiał się pod surowością ks. Konstantego, jak młodzież ówczesna odgadywała przeczuciem, albo dochodziła rozumowaniem, że tylko nieograniczonym poświęceniem można uzyskać niepodległość dla Polski.

Powstanie 1830 r. zastało Konarskiego podchorążym w 1 pułku strzelców pieszych. W końcu powstania został kapitanem i odznaczony krzyżem zasługi wojennej. Po upadku powstania poszedł wraz z innymi na tułaczkę, do Francji, gdzie odsunąwszy różne ponętne propozycje, myślał tylko o tym, w jaki sposób przyjść ojczyźnie z pomocą.

Wyprawa Zaliwskiego pociągnęła Konarskiego. Poszedł więc ze strzelbą przez ramię, z garścią prochu i kul, z próżną kieszenią, ale z duszą pełną prawd żywych, wzywać do powstania lud ziemi Augustowskiej.

Zdawało mu się, że nie znajdzie się w kraju człowieka, któryby nie pośpieszył na wezwanie garstki zapaleńców. Stało się jednak inaczej. Lud nie poparł tego zrywu, gdyż nie widział w nim poprawy swego losu. Zbolały apostoł poszedł znów na tułaczkę. Nie mógł usiedzieć bezczynnie. Założył i wydawał pismo „Północ”, poświęcone sprawom Polski. Powstałe w tym czasie Towarzystwo Demokratyczne pokładało wielkie nadzieje w powszechnym ruchu rewolucyjnym i nawoływało znów do zbrojnego ruchu.

Emisariusze demokratyczni stworzyli w ciągu kilku lat szereg towarzystw o charakterze rewolucyjnym, jak na ówczesne stosunki. Szymon Konarski należał do najbardziej ofiarnych emisariuszy. Młody odważny, zdecydowany na wszystko, pełen zapału i poświęcenia wrócił znów do kraju, mocno przejęty hasłami społecznej przemiany w duchu skrajnym. Skierował swoje wysiłki na pracę organiczną, której celem było oświecenie, umoralnienie i uświadomienie narodowe mas włościańskich. W ludzie wiejskim widział siłę, która może wyzwolić kraj z niewoli.

Dostawszy się na Polesie, zamieszkał w Lissowie, w domu Rodziewicza, wśród niedostępnych bagien i borów i podejmował stamtąd częste wycieczki w okolice, by uświadamiać lud.

Przygarnęła do niego całym sercem rodzina Michalskich, złożona z ojca staruszka, żołnierza kościuszkowskiego, syna Lucjana, kapitana wojsk polskich i córki Emilii, narzeczonej Konarskiego.

U Michalskich, w kółku poufnym ułożono główne zasady organizacji, do której przystąpili: dr Antoni Beaupré, K. Maszkowski, P. Borowski i inni, oraz kilku włościan.

Na zjeździe, odbytym w Berdyczowie, podczas onufrejskiego jarmarku doszło wreszcie do stworzenia Związku. Celem jego miała być praca nad oświatą i dobrobytem ludu, połączona z budzeniem we wszystkich klasach uczuć i dążeń patriotycznych. Naczelnikiem Związku wybrano Konarskiego, sekretarzem korespondencji zagranicznej została Ewa Felińska, matka późniejszego arcybiskupa warszawskiego — Zygmunta. Jednym z środków działania było rozpowszechnianie ulotek, omawiających popularnie kwestie społeczne i narodowe. Artykułów dobrze opracowanych nie brakło, ale była wielka trudność w przygotowaniu większych ilości druków. Postanowiono więc w zapadłej wiosce na Polesiu założyć drukarnię, którą miano sprowadzić z Genewy. Pośrednikiem miał być wileński zegarmistrz Duchnowski, członek Związku, utrzymujący z Genewą stosunki handlowe. Ażeby się z nim porozumieć pojechał Konarski do Wilna z Rodziewiczem, jako jego służący.

Tymczasem trzyletni pobyt Konarskiego w kraju i jego ruchliwa działalność wzbudziła czujność tajnej policji. Z ambasady rosyjskiej w Paryżu nadszedł do cesarza raport „o niebezpiecznym i zuchwałym emisariuszu, ukrywającym się na Litwie”, a cesarz przejeżdżając przez Wilno pokazał ów raport gubernatorowi ks. Dołgorukiemu, który przestraszony i zawstydzony, bo o niczym dotąd nie wiedział, rozkazał wszcząć energiczne poszukiwania za Konarskim.



Szymon Konarski w czasie śledztwa

W tym właśnie czasie przybył Konarski z Rodziewiczem do Wilna. Spotkanie Konarskiego z Duchnowskim od było się w winiarni Rosentala. Właściciel winiarni, poznawszy z ogłoszonego przez policję rysopisu „niebezpiecznego emisariusza”, w obawie przed od powiedzialnością, sprowadził agenta. Ale Konarski bystry i ostrożny wywiódł go w pole. Wymknął się zręcznie z sieci i znalazł bezpieczne schronienie w pobliskim szpitalu, skąd został wyniesiony w trumnie za miasto na cmentarz, gdzie oczekiwał go już z powozem — Rodziewicz.

W drodze powrotnej na Polesie przypadek zrządził, że żandarm, stojący przed stacją pocztową powziął podejrzenie co do osoby Konarskiego. Uwięził go więc i odstawił wraz z Rodziewiczem do Wilna. Rozpoczęło się śledztwo, przy czym prezesem komisji śledczej został książę Trubecki, który swoimi okrucieństwami dorównywał Murawiewowi. Ze słabego i wrażliwego Rodziewicza wydobył pierwsze zeznania. Cele więzienne pochłonęły znów kilkanaście ofiar, ale śledztwo posuwało się bardzo powoli naprzód. Przebywał Konarski w więzieniu przy Ostrej Bramie, tej samej Bastylii, w której niegdyś przebywali: Mickiewicz, Zan, Suzin, Czeczot i wielu innych. Przy każdym śledztwie katowano go najpierw kijami, a gdy ks. Trubeckiemu zdawało się, że ukrywał prawdę, krajano mu skórę na łopatkach, w rany kapano lakiem, a nalawszy spirytusu, zapalano go następnie. Wyciągano mu palce ze stawów, wbijano gwoździe za paznokcie. Ktokolwiek czytał martyrologię świętych chrześcijaństwa, albo przeżywał ostatnio grozę katowni hitlerowskich, ten tylko zrozumie jak wytrwałym być musiał Konarski.

Nie wydał nikogo i nic nie powiedział.

Osobisty urok Konarskiego i jego zachowanie się podczas śledztwa, zjednały mu sympatię kapitana rosyjskiego Korowajewa, który posiadając zaufanie Trubeckiego, postanowił uwolnić Konarskiego, a gdy ten nie chciał zostawić swych towarzyszy niedoli, opracował plan oswobodzenia wszystkich więźniów polskich.

Pomiędzy uwięzionymi znajdował się niejaki Orzeszko, który sądząc, że uratuje siebie, zadenuncjował Korowajewa przed komisją śledczą. Korowajew oddany pod sąd wojenny, skazany został na degradację i zesłanie na 15 lat na Syberię.

Trubecki wysilał się dalej na wyszukiwanie nowych męczarni więźniom.

Księdzu Trynkowskiemu ściskano głowę żelazną obręczą, aż dostał pomieszania zmysłów; Jerzego Brynka karmiono śledziami, zamykano w gorącej kaźni, nie dając wody do picia; studenta Ejzenblatera, który odważył się spoliczkować Trubeckiego, zabito kijami.

Konarski znosił wszystkie męczarnie, a nawet drwił z Trubeckiego, mówiąc: „Zobaczymy, kto z nas dwóch mocniejszy, czy ty w wyszukiwaniu męczarni, czy ja w ich znoszeniu”.

Trubecki pienił się ze złości, wymyślał najpotworniejsze katusze, nic jednak z Konarskiego wydobyć nie zdołał.

Kiedy wreszcie przeczytano Konarskiemu wyrok, skazujący go na karę śmierci przez rozstrzelanie, nie drgnął nawet, lecz odszedł do swej celi i tam dopiero pochwyciwszy za pióro, chociaż dotąd nie próbował swoich sił w sztuce pisania — stworzył poezję, w której odbił całą swą gorącą miłość Ojczyzny i wolności, cały swój rewolucyjny zapał poprawy świata z zardzewiałych błędów, a zakończył bolesnym wykrzykiem na niesprawiedliwość losów:

„O! ciężka moja dola i oddech mój ciężki,
Jak trupa przed skonaniem, narodowe klęski
Przetopione w mym sercu na trucizny jady,
Pełzają w duszy mojej jak szkodliwe gady,
I toczą pierś tułacza, jak robactwo zgniłe,
Które rojem napada na świeżą mogiłę.
. . . .
I cóż mi Panie, po tym spokojnym sumieniu,
Co po chęciach Ci znanych, co mi po tym chceniu?
Co mi po tym, że zawsze żyłem nie dla siebie,
Że uczynkami memi chwaliłem Cię w niebie,
Że po więzieniu biegam, jak pies z głodu wściekły,
Że łzy głodu wściekłego w oczach mi się spiekły!
. . . .
Ja nie dbałem o życie, nie dbam i o duszę,
Ale Polskę zbaw, Panie! Polskę wybaw Boże!”

Dnia 28 lutego 1839 r., po 10-miesięcznym pobycie w więzieniu, nastąpiła egzekucja Konarskiego. Cała patriotyczna ludność Wilna znalazła się na placu stracenia.

Kule przeszyły pierś wielkiego Polaka. Z głuchej i ponurej ciszy wydarł się przeciągły jęk ludu, który rzucił się do trupa, obrywając kawałki odzieży na relikwie, maczając chustki we krwi. Żołnierze rosyjscy nie bardzo przeszkadzali tłumowi, gdyż sami czuli cześć dla tego „żelaznego człowieka”, czego dowodem było to, że żaden oficer rosyjski nie chciał dowodzić plutonem egzekucyjnym.

Emigracja polska bardzo boleśnie odczuła ten cios.

Poeta Seweryn Goszczyński pożegnał męczennika Konarskiego pięknym wierszem, z którego wyjątek tu przytaczamy:

„Bracie Konarski! Tobie się dostało
Paść tą ofiarą błagalną za braci,
Ciebie to dzisiaj dosięgli jej kaci,
Twoje w tym miejscu zwaliło się ciało...
Lecz tylko ciało! Duch idzie nad ziemię,
Aż w światach nowych, bliższych Boga stanie,
Gdzie szlachetniejszej pracy, weźmiesz brzemię,
W bardziej anielskie wejdziesz powołanie,
Skąd będziesz jaśniał w promienistszej szacie
Nad Twoją Polską. Cześć! Cześć Tobie bracie.
. . . .
...Anioł narodowej chwały
Nie przejdzie niemy nad Twoją mogiłą.
Chwilę Twej śmierci, jak pomnik poświęci,
Zawiesi na nim, jak wieniec te słowa:
On za lud umarł! Cześć jego pamięci!
A lud w swym sercu wiecznie je przechowa,
Będą je zdawać swoim wnukom dziady,
I czyste dusze będą iść w Twe ślady”.

MARIAN BOGACZ

PUSTYNIA PIASKOWA SPŁYWA POD ZIEMIĘ

W referatach prasowych dwu ministerstw nie wiedziano o żadnej „kolei piaskowej". Gdzie to jest? Ostatecznie możemy panu dać zezwolenie na obejrzenie tego obiektu, musi pan jednak wskazać, dokąd pan chce jechać. Na ogół dziennikarze wiedzą, dokąd się zamierzają udać...

Przyniosłem więc wycięty z jakiegoś pisma młodzieżowego artykuł, do którego załączony był szkic przyszłej kolei. Dostałem „papierek", pojechałem do Katowic. Wprawdzie nikt mi niczym nie dopomógł, ale budującą się dopiero kolej i tak znalazłem. Nie igła. Linia długości 75 kilometrów, z odgałęzieniami drugie tyle. Przy jej budowie pracuje kilka tysięcy ludzi, głównie ze Służby Polsce. Nie ukryje się.

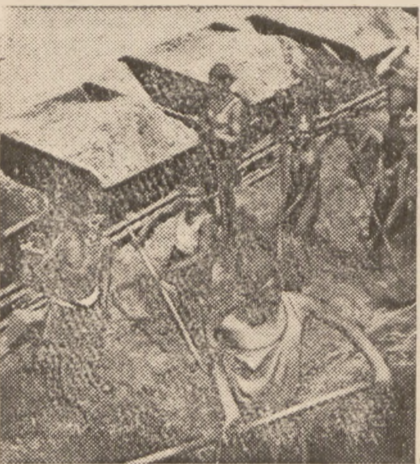
Trudniej było dostać się do Pustyni Błędowskiej. W osadzie Jęzor (woj kieleckie), położonej o parę kilometrów od Mysłowic w tzw. „trójkącie trzech cesarzy" u zbiegu Czarnej i Białej Przemszy, ludzie tylko mgliste mieli o niej wyobrażenie. Jedni odległość szacowali na 30, inni na 70 km. Dostać się tam samochodem? Można 4.000 zł. Albo koleją. Ale to skomplikowana rzecz. Olkusz. Strzemieszyce. Maczki. Szczakowa. Złe połączenia.



Junacy 9 Brygady Służby Polsce: Nowakowski, Lisztwan i Dziedzic, wyróżniający się w pracy



Towarowy pociąg jedzie do Krakowa; w dole skład wywrotek, naładowany czeka na odtransportowanie



Ładowanie wózków piaskiem w skwarny dzień mogłoby być ciężką pracą, gdyby nie młodość i współzawodnictwo...

Pustynia Błędowska obejmuje powierzchnię 13.758 ha! To mała Sahara w sercu Polski. 13.758 ha bezludnych, nagich piasków, gdzie nie ma żadnej roślinności, sypki zaś piasek usiłuje zawiać koryto Białej Przemszy oraz rzeczki Sztołę i Babę. Ale gdyby się chciało znaleźć obszar ten na przykład w encyklopedii — rzecz byłaby trudniejsza. Słownik „Ultima Thule" mówi tylko o bardzo niewielkiej przestrzeni. Wielki Słownik Geograficzny Ziem Polskich Chlebowskiego nie wspomina o niej wcale. Może zresztą przed 70 — 80 laty pustynia ta była tylko piaszczystymi wydmuchami? Żyjemy przecież w okresie powstawania małej pustyni piaszczystej w okolicach Warszawy: od Płudów na północ ku Legionowu i dalej...

Jest tedy pustynia, zawierająca według naukowych obliczeń ponad 3 miliardy ton piasku. I prawdopodobnie pozostałaby tam po wiek wieków, gdyby nie... kopalnie węgla.

Kiedy eksploatuje się grubsze pokłady węgla, należy miejsce po wybranym pokładzie węglowym podsypać piaskiem, zmieszanym z wodą. Wtłoczyć go do kopalni przez rury, by zapobiec zapadaniu się powierzchni, co jest dość częstym zjawiskiem na terenach węglowych. Opowiadano mi o starej kopalni w m. Zielonka pod Sosnowcem, że na jej miejscu utworzył się rodzaj jeziora głębokości 35 metrów. Górnicy, pracujący w sąsiedniej kopalni, przez lat 15 obawiali się, że któregoś dnia dno pod tym jeziorem zarwie się i woda runie w głąb, przenikając pod ziemią do innych kopalń. Aż stało się to, bodajże w ubiegłym roku. Przez trzy dni nie schodzono do pracy, obawiając się katastrofy, woda jednak szczęśliwie znalazła sobie inne ujście.

Dotychczas kopalnie korzystały każda z własnego piasku, ale pokłady jego zaczęły się wyczerpywać i powstała nagląca konieczność rozejrzenia się za nowymi zasobami. Bez stosowania tzw. podsadzki (z piasku) nie można było należycie eksploatować kopalń i trzeba było pomijać „filary" ochronne.

Co to jest filar? Jest to słup węgla, pozostawiany pod miastami, rzekami, obiektami strategicznymi itp. O ich wielkości niechaj świadczy, że sam filar pod miastem Katowicami szacowany jest na miliard ton węgla. Poza tym niestosowanie podsadzki płynnej przy pokładach powyżej 3.5 m uniemożliwiałoby eksploatację dalszych kilku miliardów ton. Gra więc idzie o olbrzymią stawkę.

Oczywiście już i przed wojną zdawano sobie sprawę, że piasek poszczególnych kopalń wyczerpuje się, że nie zawsze się nadaje ze względu na dużą domieszkę gliny, ale na przeszkodzie w zrealizowaniu jakichś szerszych w tym zakresie projektów stało należenie kopalń węgla do rozmaitych właścicieli, nie chcących inwestować wielkich kapitałów w przedsięwzięcie rentujące się dopiero na dalszą metę.

Stało się to możliwe dopiero po objęciu kopalń węgla przez państwo. Myśl budowy kolei piaskowej dojrzała do wykonania. Pustynia Błędowska ze swymi ponad 3 miliardami ton piasku stała otworem. Tylko przyjść i czerpać...

Przed tym jednak trzeba było wybudować kolej. Nad zadaniem tym biedziło się kilka firm państwowych, ale budowa zaczęła czynić widoczne postępy dopiero z chwilą wprzągnięcia do pracy pięciu brygad „Służby Polsce". Pięć czy sześć tysięcy par młodych dłoni ma przysporzyć gospodarstwu polskiemu dzieła, którego znaczenie dla przemysłu węglowego jest wprost nieocenione.

Kiedy się jedzie z Mysłowic do st. Kosztowy, widzi się po obu stronach toru kolejowego Junaków przy pracy. Podobnie jest, gdy się opuszcza Mysłowice w kierunku na obóz 9 brygady S. P. w Jęzorze: nad Przemszą Junacy sypią tor, podgryzając w tym celu jedną z tak licznych na Śląsku hałd. Zawalidroga — przyda się wreszcie.

Zapotrzebowanie piasku dla przemysłu węglowego z podsadzką wszystkich pokładów powyżej 3.5 m. i filarów ochronnych szacowane jest na 4 miliardy ton, piasku więc w Pustyni Błędowskiej starczy na cały żywot naszych kopalń. Pustynia eksploatowana będzie stopniowo z południa na północ aż do poziomu naturalnego spływu wód gruntowych. I, oczywiście, tereny te będą stopniowo zalesiane. W dalekiej więc przyszłości wyobraźnia nasza ukazuje na miejscu obecnej pustyni szumiące, zielone lasy. Bardziej bliska przyszłość rysuje obraz wielkiej zapory wodnej na osi przyszłego kanału Przemsza — Wisła w okolicach Błędowa i Lasków. Zapora (zbiornik retencyjny) gromadzić będzie 130 milionów sześc. wody i m. in. ma ułatwić zaopatrywanie w wodę przemysłowych rejonów Górnego Śląska.



Układanie toru w Hołdunowie. Każdy chce być na zdjęciu

W związku z tymi poszukiwaniami piasku wyłania się jeszcze sprawa hałd, jakie widzimy w pobliżu każdej kopalni. Wprawdzie zawartość ich szacowana jest na jakieś 40 milionów ton, ale używać je do płynnej podsadzki nie można, czy to z racji rozrzucenia w terenie, czy to ze względu na to, iż skład hałd zbyt szybko niszczyłby rury, którymi wtłacza się piasek do kopalń. Hałdy zatem pozostaną jako jeden z charakterystycznych szczegółów przemysłowego krajobrazu Śląska.

Obóz brygady S. P. stale podobny jest do podrażnionego mrowiska. Roi się tam ponad tysiąc chłopców i ruch trwa niezmiennie, ponieważ praca przy budowie kolei prowadzona jest na dwie zmiany. Obóz składa się z płóciennych namiotów. Jako tło ma wysoki, prowizorycznie odbudowany most na Przemszy, nasypy kolejowe, trochę ubogich domostw i rozżarzone w majowym słońcu piaszczyste wydmy rzeczne. Z drewnianego mostu dokładnie widać różnicę w zabarwieniu wód; Czarnej Przemszy, płynącej ze Śląska Przemysłowego i Białej — z okręgów rolniczych.

Za mostem na prawym brzegu Czarnej Przemszy Junacy ładują ziemię w podstawione składy wywrotek. Grunt jest ciężki, piaskowiec szczelinowaty, i do rozbijania go potrzeba nie tylko oskardów, ale nawet pneumatycznego młota. Skarpa rzeczna jest wysoka, o niebezpieczeństwo obsunięcia się zwałów ziemnych nie jest trudno. Wypadek taki, zresztą nieszkodliwy, zdarzył się w czasie mej tam obecności. Piasek stąd brany jest na sypanie wału do Czarnej Przemszy. Tu w przyszłości zbudowany będzie most, drugi stanie bliżej Mysłowic.

Po drugiej stronie rzeki za torem kolejowym jest drugie miejsce, skąd piach jest brany na sypanie toru. Tor ma sięgać 9 metrów i mieć odpowiednio szeroką podstawę, toteż pochłonie miliony metrów sześciennych. Sypany jest na trasę, wytkniętą w terenach tak jałowych, że nawet niewybredna sośnina ma wygląd zgoła rachityczny. Miejscowi ludzie twierdzą, że pokłady aluwialnego i dyluwialnego piachu sięgają 40 metrów głębokości.

Miejsce, skąd ten piach jest przywożony, daje przedsmak niedalekiej Pustyni Błędowskiej: rozległa przestrzeń sfalowanego biało - żółtego piachu, dymiącego w silniejszych podmuchach wiatru. Bliżej resztki wyciętego sosnowego zagajnika, wypalone słońcem podłoże, cieniutka warstwa humusa. Kiedy wiatry i skąpe deszcze wypłuczą resztki żyźniejszej gleby — i tu przyjdzie wszechwładna pustynia, która już się rozlała na blisko 14 tysiącach hektarów.

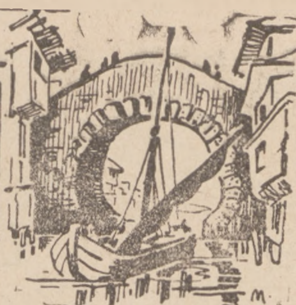
Uwaga: gwiżdże lokomotywa, turkocze sznur wagoników. Spod naładowanego już składu wysuwają się opalone na brąz postacie w furażerkach i białych koszulkach. Na załadowanie wózka jedna para potrzebuje 7 minut. Przy rekordowym tempie — 2 minuty. Ponieważ jednak kolejka obraca co 20 minut, chłopcy nie przepracowują się. Stoją tu wprawdzie dwie kopaczki, ale nie są uruchomione, ponieważ nie ma na razie technicznych możliwości do wywózki takiej ilości piasku, jaka mogłaby być dostarczona. Zresztą są pewne niedociągnięcia natury właśnie technicznej, które mają być wkrótce usunięte.

Do końca roku 1950 główne prace mają być zakończone, całość gotowa w roku 1952. Będzie to wielki wyczyn polskiej pomysłowości, techniki i pracy. Pracy personelu technicznego i Junaków ze Służby Polsce. Wybieram na chybił trafił kilka przodujących nazwisk: Nowakowski, Lisztwan, Dziedzic, Karmazyn, Rękawiecki, Szczepaniak. Chłopcy nawet nie zastanawiają się nad wielkością dzieła, w którym biorą udział. Nad tym, że danym im było brać udział w przemianie i budowie nowej Polski. Polski i człowieka pracy.

Jerzy Glaus

Stanisław Maria Saliński

BENIAMIN



OPOWIEŚĆ Z PODEJRZANYCH MÓRZ

IX.

Ciąg dalszy

Odrazu przystąpiłem do najważniejszego — co z brygiem, o której, jak i którędy. Okazało się, że wszystko załatwione, kapitan Rain zgodził się na zabranie pasażera, który tkwi „na biczu"*) w Moncay, czekając na okazję wyjazdu. Napomknął Rainowi, że przejazd oczywiście nie odbędzie się za darmo, co Rain przyjął z zadowoleniem. Miał pewne skrupuły, co do papierów swego pasażera.

— W porządku Ben — powiedziałem — tu przy wejściu na pokład nikt i nic sprawdzać nie będzie, to jasne, no a w Hong - Kongu wystarczy przy zejściu moja „rola",**) nieprawdaż? — Wystarczy w zupełności.

Kiedy mogę zaokrętować się? Z tym należało poczekać do zmroku, bo... — Rozumiesz przecież — zrobił swego szatańskiego zeza w kierunku „Paradisu". Oczywiście rozumiałem: nie odpłynę przecież z całą pompą i paradą, odprowadzany przez madame Gobinot i Korę z bukietami i powiewaniem chusteczkami, w siną dal za Kampiung — na oczach trzech dżentelmenów z motorówki. Rzecz jasna, i wcale sobie tak mego wyjazdu z Moncay nie wyobrażałem. Po zachodzie słońca o godzinie siódmej przyjedzie po Bena szalupa z „Trahison", przybije o ćwierć mili powyżej „Paradisu" przy starej szopie rybackiej. Czeka do ósmej. Bryg skończył ładowanie kopry i podniesie kotwicę przed północą.

Wykładał mi to wszystko bardzo rozsądnie, a jednak, gdy patrzyłem nań, oświetlonego moncajskim światłem, gestykulującego zbyt przydługimi rękami i skrzeczącego tym swoim drewnianym cykadowym głosem — miał w sobie coś niezbyt realnego. Coś, czego nie umiałbym określić, jakąś komiczną emfazę, nie pobudzającą jednak do śmiechu i coś żałosnego, a nie budzącego współczucia. Manipulował żonglerskimi rękami, bardzo szybko, pozornie bezładnie, lecz w ich pozornym bezładzie było — o dziwo! — coś z czynności obierania kartofli. Jako żywo stanął mi przed oczami fragment „Penzy" — żydek przed wejściem do kambuzu. Ben — „kartoszka" przygarbiony pałąkowato nad kubłem i fruwające w jego rękach od świtu do nocy kartofle. Pociągnąłem nosem. Ba! Nawet jak gdyby zalećiało zapaszkiem tamtego pakameru. Jako żywo!

Napijesz się, he? — przerwał moje wizje i przysunął flaszkę „White Horse", już do połowy opróżnioną.

— Owszem, napiję się, z przyjemnością. Dobry trunek, nie gobinotowska anisette, po której dusi trzydniowa zgaga.

Nalał po pół szklanki, sobie i mnie. Trąciliśmy się kordialnie „za naszą rajzę i pomyślność", „prosit" i „czik - czik, na mój honor!". Opalizujący w szklankach „White Horse" pachniał solą, Hong - Kongiem, szerokim światem; miał w sobie zapach rzeźkiej porannej bryzy, smolisty i krzepiący na duchu.

Poklepaliśmy się z Benem po ramionach i jeszcze raz zakomunikowaliśmy sobie wzajemną radość ze spotkania. Pogratulowałem Benowi awansu, kucharzowanie na dobrym kupieckim brygu to całkiem niezłe zajęcie, no, a poza tym, zdarzają się prawdopodobnie różne okazje, z pustymi rękami do domu nie wraca się. Przytaknął roztargniony nagle i czemś zaniepokojony, postawił szklankę na stole i kilkakrotnie zapukał palcem o kant taboretu. — Nieheblowane — wyjaśnił. Efemeryczny półblask mżył od okienka, nasycony popielatawą mgłą i dymem tytoniu i twarz Benjamina, ilekroć spojrzałem na nią, wydawała się w tym świetle zielona i szara naprzemian. Szkaradny zez miał w sobie coś zaiste szatańskiego.

— Słuchaj, pokażę ci. Tobie mogę, na mój honor. Co? Mogę?

— Zależy, co — usiłowałem obrócić w żart jego tajemniczość — jeżeli na przykład...

Nie dosłuchał do końca, lecz kurczowo pociągnął mnie za ramię ku ścianie, w której dopiero teraz zauważyłem małe drzwiczki. Pchnął je, w ciemnym schowku - graciarni stało kilka skrzyń.

— Widzisz?

— Widzę, Ben, skrzynie.

— Tak, skrzynie. Moje! A w nich — wiesz co? — Nie czekając, aż zacznę zgadywać dodał triumfalnie: — Harandy.*) Szesnaście tuzinów, na mój honor! Rozumiesz? Szesnaście tuzinów!

Gwizdnąłem z uznaniem. — Piękny arsenalik, Ben. Jakeś to przyfasował? Fiu - fiu! Ładny mająteczek!

Zachłystnął się skrzekliwym śmiechem, tokując długo na wysokiej drewnianej nucie, jak tonkiński świerszcz, zapamiętale, z upojeniem. — Tak, bracie — powtarzał w pauzach swej radosnej ekstazy — tak, bracie, to rzeczywiście fiu - fiu! Rzeczywiście, fiu - fiu! Na mój honor, rzeczywiście!

3.

— Dolać?

Nie czekając na moje przyzwolenie sięgnął po butelkę. Moglibyśmy w miarę ubywania płynu obliczać czas jak na klepsydrze, gdyż Benowe „dolać" powtarzało się mniej więcej co kwadrans. Z drugiej butelki „White Horse" ubyła połowa, a więc jest już około godziny piątej. Ale przyznam się, że nieco przydługiej opowieści Benjamina słuchałem ze wzrastającym uznaniem i ciekawością. A, zresztą, co innego miałem do roboty? Do misji już przed odjazdem nie wrócę, a słowa pożegnania dla padre Ignazio (noblesse oblige!) prześlę na kartce przez Kuanga. Wystarczy. Kora? Dla Kory miałem inny projekt.

— No i co dalej, Ben?

Odpił łyk ze szklanki. — Na mój honor, ostatecznie nie bardzo się Rainowi w Hong-Kongu dziwiłem, ani nie mogłem mieć do niego pretensji. Cztery razy odsiadywał w swym życiu paskudne paki, przed wojną skonfiskowali mu szkuner, którego był współwłaścicielem. Brakowało mu rok i coś tam do emerytury z Lloydu i gdyby się teraz narwał — mógłby otrzymać figę, a nie emeryturę. Ale dobił mnie swoją żoną.

— Nie — powiada, a poza wszystkim ja złożyłem przysięgę mojej żonie, że w żadne brudne sprawy wdawać się nie będę. I przysięgi dotrzymam, jakiem kapitan Rain.

— A pies ci mordę lizał, kapitanie Rain — myślę, a głośno jeszcze staram się mu wytłumaczyć, że ryzyko dlań żadne. Moncay to porcina, gdzie psa z kulawą nogą nie ma, na mój honor.

— Pan nie był na lądzie w Moncay poprzednim razem, kapitanie — mówię do niego — i pan nie wie, że cały Moncay to jeden knajpiarz z „Paradisu", który właśnie zamówił u mnie ten mały sprawuneczek z Hong-Kongu, a reszta — małpy. Nie ma żadnego ryzyka, kapitanie. Wogóle poruszam tę sprawę dla porządku tylko, bo na upartego mógłbym tych parę skrzyneczek przeszwarcować na „Trahison" bez pańskiej wiedzy, kapitanie, a proszę pana o pozwolenie, ponieważ jestem przyzwoity człowiek i dla porządku, na mój honor!" Na nic. Nie i nie. Certowałem się z nim dzień, i dwa, i trzy. Na nic. Twarda sztuka, stary kapłon.

Postój brygu ma się ku końcowi, a ja chodzę, jak błędny — co robić? Tylem się nabiedził, nastarał i masz — Potknąłem się o kapłona i leżę. Leżę, jak głupi, na mój honor. Rozumiesz?

— No, dobrze. A coś podsunąć temu twojemu Rainowi? Żeby też zarobił...

— Mowy nie ma. Próbowałem. Sklął mnie: „Gdybym chciał uprawiać brudne interesa, bez twojej, kotletowa mordo, pomocy zarobiłbym. Ale przysięgłem mojej żonie".

A bodajbyś zdechł ze swoją przysięgą — myślę — i omal nie warjuję, na mój honor. Jutro rano o piątej podnosimy kotwice, prowiant załadowany, załoga ma ostatni wieczorny fajerant, a moje skrzynie jeszcze leżą u Garricka na Moon Street. Lecę na Moon Street, wycofać się z tranzakcji. Garrick słuchać nie chce; towar zapłacony musi być zabrany i szluss. Cały majątek utopiłem w tej tranzakcji i leżę. Wracam na bryg, jeszcze raz do Raina, że tak i tak. Że tracę majątek. A Rain wyciąga z szuflady moje papiery.

— Jeżeli mi się jeszcze raz zająkniesz, kotletowa mordo, o tych swoich sprawkach — won z brygu natychmiast. Ja przez ciebie ani siedzieć w pace ani tracić emerytury nie zamierzam. Mam na twoje miejsce innego kucharza, a nie kontrabandystę. Albo — albo...

— Dobrze, kapitanie — mówię, bo mi coś zaświtało w głowie — dobrze, niech będzie w myśl pańskich życzeń. Posada ważniejsza dla mnie. Rezygnuję z okazji poprawienia sobie bytu, byleby pan, kapitanie, nie stracił emerytury.

— Przysięgniesz, że mówisz prawdę?

— Przysięgnę!

— Na świętą Katarzynę ze Sienny?

— Niech będzie na Katarzynę.

— Nie niech będzie, lecz przysięgaj! Na kolana!

— Trudno! Ukląkłem, przysięgłem na tę ze Sienny i idę potym do Oyla. Poznasz go — to prawa ręka, zausznik starego Raina. Pierwszy nawigacyjny. Mocny człowiek, wszystko zrobi jak zechce, jeżeli chce. A Raina ma w garści, bo to właściwie Oyl rządzi na „Trahison", a nie stary kapłon, Rain. Ba! Gdybym od razu poszedł z moją sprawą do Oyla, a nie do Raina — byłoby inaczej... A tak...

Odpił łyk. Strzepnął palcami. Spojrzał w okienko, za którym znów załopotał deszcz okropnym suchym szelestem. Spadające blaszane krople odmierzały uciekający czas. Strzepnął jeszcze raz palcami.

— No, tak, na mój honor. Biorę Oyla na bok. On miał serce, więc ja mu do serca, wszystko jak jest naprawdę. Że mam staruszkę matkę, którą muszę ratować, a jedyny ratunek to kuracja w tych tam wodach siarczanych w Unzen pod Nagasaki. A to kosztuje i ja muszę mieć pieniądze. Więc za wszystkie oszczędności kupiłem partję Harandów i chcę zawieść do Moncay, gdzie mam na nie zamówienie. Oyl, pomóż mi pan! Opowiadam mu wszystko o ceregielach z Rainem, nawet o przysiędze na tę ze Sienny. Wszystko od a do zet! I proszę Oyla o pomoc. Harandów jest osiem skrzyń, trzydzieści dwa tuziny. W kieszeni tego nie przemycę na pokład, mogłem przeszwarcować razem z prowiantem, ale Rain do tego nie dopuścił, a teraz nie ma wyjścia, gdyż straż portowa takiego ładunku przez strefę wolnocłową (a „Trahison" stał właśnie w wolnocłowej) bez przepustki nie puści, a o przepustce nie ma co marzyć. Wycofać się z interesu nie mogę, bo mi przeklęty Garrick pieniędzy nie chce zwrócić. Oyl, ratuj mnie pan!

— Dobrze — mówi Oyl — uratuję! Daj mi upoważnienie do Garricka, a sam precz z pokładu. Idź do „King Story", zamów lepszą flaszkę, za pół godziny przyjdzie tam Rain, zaproś go do stolika i pogaworzcie sobie z godzinkę. Najlepiej pociągnij Raina, żeby naopowiadał ci o swoich dziewczynach. Zacznie wspominki i zatokuje się, jak cietrzew. Zrobione! Nie wracajcie na pokład z nim, aż dam znać. A teraz: pięćset dolarów dla mnie na transport i mów, gdzie masz zamiar ten swój ładuneczek złożyć?

Miałem prowiantowe pieniądze przy sobie, dałem mu pięćset dolarów. (Później — myślę sobie — z zarobku zwrócę do kasy, na mój honor!), tłomaczę, gdzie skrzynie złożyć — po dwie w kambuzie, w pakamerze, w dolnym łuku i w szalupie. Osiem skrzyń, jak ulał, trzydzieści dwa tuziny. Fortuna, na mój honor...

Zatarł małpie ręce i znów zaczął żonglować niewidzialnymi kartoflami. Nadsłuchiwał przez chwilę warkotu narastającego deszczu. Gdzieś niedaleko nudnie i ciężko ryczały głodne krowy i głuche ich głosy podobne były do buczenia syren okrętowych we mgle.

— Tak. Słuchasz? Dałem mu te dolary i lecę, jak na skrzydłach do „King Story". Nie wiem, czy znasz tę knajpuchnę? Akurat dwieście metrów od postoju naszej „Trahison". Lecę, jak na skrzydłach, zamawiam flaszkę manzanilli, bo słyszałem, że to Rain lubi, i dalej idzie wszystko jak w zegarku — za pół godziny jest Rain, ja go zwabiam na manzanillę, naprowadzam na wspominki. Piję z nim, a cały czas rozmyślam, że jak narazie — Oyl mnie nie nabrał i wszystko „o key". Już widzę pięć tysięcy i ratunek dla mojej mamaszy.

— Pięć tysięcy? Na Unzen? Aż tyle? Przecież to majątek.

— Majątek, ale ani centa mniej. Sześć miesięcy kuracji w Unzen, to jest pięć tysięcy. Unzen i tylko Unzen. Doktór Woropajew mówił — sześć miesięcy w Unzen i wasza matka pożyje pod gwarancją do stu lat. Nie tylko chodzić, ale i tańczyć będzie, choć ma już swoje sześćdziesiąt. Tam są takie źródła siarczane czy radowe, czort ich wie, na mój honor, jedyny na jej ratunek. Ona mnie dwadzieścia pięć lat dźwigała na własnych plecach i własnymi rękami, niechże ja ją teraz podźwignę. Rozumiesz? Rzecz między nami musi być w porządku, choćbym zdechł. Jeden mój rejs do Moncay. Cóż to jest wobec jej mordęgi nademną, na mój honor!

Ciąg dalszy w następnym numerze

*) Gwarowe — marynarz bez zajęcia, na lądzie.
**) Paszport marynarski.
*) Typ szybkostrzelnych karabinów amerykańskich.

KĄCIK JĘZYKOWY

IŚĆ PO LINII....

Zwrot powyższy spotykamy często w języku potocznym, w dziennikarstwie i publicystyce, w poważniejszych dziełach, a nieraz w zarządzeniach i obwieszczeniach władz i urzędów państwowych. Zwrot ten ma służyć do upiększenia i większej wyrazistości myśli zamkniętej w zdaniu. W rzeczywistości zwrot — **iść po linii** nic nie znaczy; nie tylko że nie wyjaśnia, ale raczej zaciemnia sens zdania i chociażby z tego względu nie może być uważany za ozdobę stylu. Zwrot ten jest wyrazem nieporadności i zaniedbania językowego, pomimo, że spotykamy go na każdym kroku i dlatego, być może, nie zwracamy na to uwagi. Oto przykłady:

„Prace te **idą po linii** uchwał obydwóch partii (zamiast: prace te rozwijają się zgodnie z uchwałami obydwóch partii).

„Dekret **idzie po linii** włączenia działalności samorządu gospodarczego i zawodowego w ramy gospodarki planowej (zamiast: dekret zmierza do włączenia, lub krócej — włącza działalność samorządu w ramy gospodarki planowej).

„...**Idąc po tej linii** (planu) Ministerstwo ...... zamierza w roku bieżącym wprowadzić reglamentację zbioru ......" (zamiast: stosownie do planu, lub zgodnie z planem Ministerstwo zamierza ....").

I wreszcie zwrot niezwykle dziwaczny:

.... **idąc po linii** uchwał z dn. 24 kwietnia **w kierunku na (!)** podniesienie produkcji, zebrani stwierdzają, że ......". Prawdopodobnie zwrot ten miał brzmienie następujące: — stosownie do uchwał z dn. 24 kwietnia w sprawie podniesienia produkcji zebrani stwierdzają, że ....

J. N.

Wesoły TYDZIEŃ

WARSZAWA kpi

Fraszki

DLA ŻONATYCH

O niewieście się mówi:
„Donna e mobile",
O niewieścim języku:
„Perpetuum mobile".

FRASZKA FIZYCZNA

Do nafty rzekł raz płomień,
Gdy palił się do rana:
„Ach, ale ty jesteś
W y r a f i n o w a n a."

K.



W ubiegłym tygodniu nagrodę za „Sklerozę" otrzymała p. Aniela Racinowska (Zielona Góra, Pionierska 19) w postaci książki M. Sadzewicza p. t. „Oflag".

TAKI MŁODY, A TAKI ZEPSUTY

Zepsuła go mianowicie korektorka. W piątym numerze „Magazynu Tygodniowego" znajdujemy notatkę p. t. „Nowy rekord skoku ze spadochronem". Radziecka spadochroniarka inż. Helena Władimirskaja opowiada w niej o swoich wrażeniach ze skoku z wysokości 4.500 metrów.

„Miałam uczucie, że ziemia gna mnie z szaleńczą szybkością. Jednakże za linkę pociągnęłam dopiero w sześćdziesiątej pierwszej minucie spadania. Poczułam gwałtowne szarpnięcie, spadochron się otworzył..."

Jaka tam szaleńcza szybkość. Na piechotę nawet trudno przejść cztery i pół kilometra w tak powolnym tempie. Chyba, że ziemia „gnała" na inż. Władimirskaję a inż. Władimirskaja z szybkością niewiele mniejszą gnała — w odwrotnym kierunku, np. w kierunku „Wielkiej Niedźwiedzicy" lub „Byka". Wreszcie jednak zdyszana ziemia dogoniła.

(Nadesłała: Aniela Racinowska z Zielonej Góry).

CO Z TYMI MŁYNAMI?

„Przegląd Rynkowy" pozazdrościł sławy p. Osińskiej, która pisała o młynie — gigancie i o której my także z tego powodu pisaliśmy.

„Przegląd Rynkowy" nie bez dumy pisze o naszym młynie w Wrocławiu-Sułkowicach, który to młyn zajmuje drugie co do wielkości miejsce w Europie.

„Obecnie uruchomiono dział przemiału pszenicy. W ciągu roku b. czynne będą również dwa działy przemiału żyta, o zdolności przemiału 170 ton na dobę, kaszarnia ze zdolnością przemiałową 500 ton na dobę, oraz łuszczarnia grochu i płatkownia. Po uruchomieniu całego młyna, zdolność przemiałowa osiągnie 450 ton produktów na dobę."

Z takiego młyna można naprawdę być dumnym. Natomiast z rachunków — niedostatecznie. Dwója, Panie Redaktorze!

(Nadesłał: A. Szczepanek z Nowego Sącza).

Quas LODY

Za dużo zawsze mam inicjatywy. I to mnie gubi.

Już tysiąc razy mówiłem sobie:

— Nie wyrywaj się idioto z płaceniem. Są tu godniejsi od ciebie.

W krytycznej chwili zawiodą mnie nerwy.

Dopiero potem człowiek mądry. Kiedy już za późno.

Jak wczoraj.

Szedłem sobie spokojnie ulicą, a tu idzie znajome małżeństwo.

— Ha! Dzień dobry! — powiadam — Dokąd to?

— My sobie na lody, — mówią.

A człowiek jest towarzyski.

— To i ja na lody, — powiadam. I ręką w kieszeni kasę macam.

Poczułem około stu pięćdziesięciu złotych.

— O! Mamy odkrytą taksówkę! — zawołała nasza dama.

Wsiedliśmy i pojechaliśmy.

A kiedy stanęliśmy przed kawiarnią, jej mąż zaczyna mruczeć i w kieszeni czegoś przebierać.

W mig pojąłem sytuację.

— Ja mam drobne! — wołam.

— Pan pozwoli!

Ma się rozumieć, facet pozwolił.

— To się później policzymy — powiedział z niedbałym wdziękiem.

Wysupłałem gorliwie 140 złotych. Tylko dziesięć złotych mi zostało. Straciłem trochę kontenans.

Osowiałem do reszty, kiedy małżonkowie zamówili lody nie zwracając na mnie uwagi.

— Ja... wody szklankę poproszę — powiedziałem potulnie do panienki w fartuszku, która skolei podniosła na mnie marzące oczy.

— Redaktor przed pierwszym skromnie — rzucił dowcipną uwagę mój towarzysz.

— Ha! Ha! — zaśmiała się rozkosznie jego małżonka.

Uśmiechnąłem się z zażenowaniem, spuszczając jednocześnie powieki.

Podniosłem je potem kilkakrotnie, by się przekonać, że lody im bardzo smakują.



Poczułem około stu pięćdziesięciu złotych.

— Niech pan żałuje, że pan nie je, — powiedziała dama, machając wymownie języczkiem.

— Bardzo żałuję, — wyznałem szczerze.

Wracałem do domu sam.

Piechotą.

Proponowali mi, bym siadł z nimi w taksówkę, ale odmówiłem.

Czasem samotność jest lepsza...

BYLE NIE Z SIWĄ BRODĄ!...

Wnioskując z listów nadsyłanych do Redakcji — mamy w rodzinie naszych Czytelników wielu ludzi rzeczywiście dowcipnych i o kapitalnym poczuciu humoru.

Spostrzeżenie to bierzemy jako podstawę **naszego nowego konkursu** pod nazwą:

WIELKI TURNIEJ HUMORU

który trwać będzie do 1 sierpnia br.

W turnieju może wziąć udział każdy z naszych Czytelników, przesyłając nam w podanym terminie dowolną ilość „produktów" swego humoru. Rozmiary nadsyłanych na konkurs „kawałków" nie podlegają ograniczeniom, byleby nie nosiły cech tzw. „humoru z długą siwą brodą".

Każdy zakwalifikowany przez Redakcję „kawałek" będzie numerowany (w kolejności nadsyłania) i wraz z numerkiem pójdzie do druku na łamach naszego pisma.

O zwycięstwach Turnieju zadecyduje w dniach 1 — 15 sierpnia br. referendum wszystkich Czytelników „Tygodnia".

NAGRODY KONKURSOWE:

1-sza — zł 5.000,
2-ga — zł 3.000,
3-cia — zł 2.000,
5 nagród po — zł 1.000 i
50 nagród książkowych.

Czekamy na szybki oddźwięk, jeszcze raz przypominając — BYLE NIE Z DŁUGĄ, SIWĄ BRODĄ!...

Sylwetki aktualne w karykaturze J. Żebrowskiego



Od lewej: Premier Bułgarii Dymitrow gościł w Polsce. Louis Jouvet znany aktor francuski pokazał Warszawie „Szkołę żon" Moliera Dawid Ben Gurion stoi na czele rządu żydowskiego w Palestynie. Wielki Mufti przywódca Arabów palestyńskich.



PRZEZ „CZARNĄ" SŁOMKĘ

— Dzień dobry.

— Dzień dobry. Siadaj.

— Dziękuję. (do kelnerki) Proszę, pani będzie łaskawa, jak zwykle oranżadę. I czarną słomkę.

— Czemu zamawiasz zawsze czarną słomkę?

— Po pierwsze — nie widzę wtedy, że jest już używana, a podalsze? — Przekonując się, jak ludzie mają w głowie zielono, lub jak niektórzy gwałtownie i koniunkturalnie czerwienieją, czuję się jako różowobiały tak zrobiony na szaro, że na wszystko patrzę czarno.

— Pij więc odpowiednio do nastrojów gorzką kawę, a nie oranżadę.

— Nie mogę, bo będąc pesymistycznym optymistą i prorządowym opozycjonistą muszę pokrzepiać się czymś słodkim.

— A może w barze?

— Po co? Tam za wielki tłok. Takie już czasy, że dziś nawet ratusz znajduje się w restauracji.

— Niemożliwe.

— Fakt. Prezydent Tołwiński zatwierdził już plany odbudowy nowego gmachu. Zaczęli od remontu zewnątrz, gdy tymczasem ważniejsza byłaby gruntowna przeróbka od wewnątrz.

— Może dlatego Rada Państwa nie zatwierdziła budżetu naszej stolicy?



— Może. Bo dochodów nie starczyłoby na pokrycie podatku od zbytku.

— Od czego?

—Od zbytecznych uchwał Miejskiej Rady Narodowej. Podobno radni otrzymali ostatnio premie...

— W postaci...?

— Pięknie wykonanych tabliczek z nowymi nazwami ulic, którym przywrócono stare miana. Zresztą jeśli chodzi o agendy miejskie, to jeden Zakład Oczyszczania Miasta nie przynosi szkody.

— Dlaczego?

— Bo nic nie robi.

— Zły warszawiak, co własne miasto kala.

— Biorę przykład z Ministerstwa Lasów.

— Coś znowu wyszperał?

— Nie ja, a prasa. Pijany szofer z tegoż ministerstwa tak ślicznie pokierował w Zielone Święta samochodem służbowym, że połamał płot, zniszczył trawnik i poprzewracał świeżo posadzone drzewka. W dodatku samochód miał umajony młodymi brzózkami, oklejony afiszami o święcie lasu i szanowaniu drzew, a cały wypadek miał miejsce przed jakąś ochronką.

— Więc dzieci z ochronki miały dobrą szkołę.

— Tak, to zresztą wina ziemiaństwa.

— Bo chcą mieć lasy pod swoją kontrolą, postarali się, żeby ministrem został, jeśli nie ktoś z dworu, to choć Podedworny.

— Szanujmy lasy.

— Szanujmy.

— Co sądzisz o wojnie w Palestynie?

— Że Arabowie coraz mocniej się tam USAdawiają.

— A Żydzi temu się nie dziwią?

— Nie. To przecież Ziemia Święta, więc są przyzwyczajeni do cudów.

— A wojna w Chinach?

— Mam i na nią sposób. Otwieram bramę w murze chińskim, robi się przeciąg, Chińczycy dostają kataru i kładą się do łóżka. Wojna skończona.

— Słuchaj, czyś ty wariat?

— Nie. Tylko lekko — pomylony od 15 lat. Dowidzenia.

— Do zobaczenia.

Podsłuchał w „Kopciuszku" — Ping

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Rozwiązanie zagadki Nr. 37 na ilustrowane przysłowia polskie nadesłało 264 osoby. Wszystkie rozwiązania okazały się dobre. Rozwiązanie brzmi:

„STRACH MA WIELKIE OCZY"

W wyniku losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Jan Popowicz — Wrocław, ul. Stalina 39. Regina Skopińska — Toruń, ul. Żółkiewskiego 34 m. 3, Teodor Nyka — Barcin, ul. Kościelna 9, Janina Kuklicz — Ostróda, ul. Kopernika 9, Hanna Drabarek — Zawiercie, Oddział „Społem". Helena Bromberkówna — Pniewy (Pryw. Gimn. i Liceum S. S. Urszulanek), Czesław Żołnierowicz — Lublin, ul. Farbiarska 2 m. 9, Jan Turek — Kraków, ul. Grzegórzecka 8—5 i St. Graczyk — Gostynin, Szosa Kutnowska 79.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

Powyżej podajemy zagadkę Nr. 41, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza

10 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 20 czerwca roku bież.

Kącik BRIDŻOWY

♠ W
♥ A.D.W.10.8.7
♦ K
♣ K.D.W.9.3

W: ♠ 9.8.7.5 ♥ K.9 ♦ A.D.10.8.7.6.5 ♣ —

E: ♠ 6.4.3.2 ♥ 6.5.4.3.2 ♦ — ♣ 7.6.5.4

S: ♠ A.K.D.10 ♥ — ♦ W.9.4.3.2 ♣ A.10.8.2

Atu pik. „W" zagrywa 9 pik. „S" bierze 12 lew.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR. 20

Należy po zagraniu od „N" dwa razy w atu, przebijać u „S" kara atutami tak, aby w dziesiątej lewie znaleźć się u „N" i zagrać karo, mając u „S" asa i damę w atu. **L. R.**

REBUS KOŁOWY

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Pięćdziesiąty z kolei kącik filatelistyczny w „Tygodniu" jest wśród naszych Czytelników małą uroczystością filatelistycznej rodziny.

Zanim przystąpimy do omówienia naszego jubileuszowego konkursu, pragniemy przy sposobności podziękować wszystkim naszym korespondentom zagranicznym, którzy dopomogli postawić nasz kącik na odpowiednim poziomie, a w szczególności redaktorom pism: „Ceskoslovenská Filatelie" (Czechosłowacja), „Filatelistické Listy" (Czechosłowacja), „Neue Sammlerschau" (Austria), „Revue Internationale de Philatélie" (Belgia), „Sberatel" (Czechosłowacja) i „Zpravodaj Nasi Filatelie" (Czechosłowacja) oraz zarządom pocztowym w Austrii, Belgii, Czechosłowacji, Liechtensteinie, Szwajcarii, Szwecji, na Węgrzech i we Włoszech.

The fiftieth number of our philatelic corner in „Tydzień" is our small jubilee. We wish to thank all our foreign correspondents for their help in putting our corner on a high level, and especially the editors of „Ceskoslovenská Filatelie" (Czechoslovakia), „Filatelistické Listy" (Czechoslovakia), „Neue Sammlerschau" (Austria), „Revue Internationale de Philatélie" (Belgium), „Sberatel" (Czechoslovakia), „Zpravodaj Nasi Filatelie" (Czechoslovakia) and Post Boards in Austria, Belgium, Czechoslovakia, Hungary, Italy, Liechtenstein, Sweden and Switzerland.

•

Nasz pięćdziesiąty kącik przynosi nam też

WIELKI FILATELISTYCZNY KONKURS — REFERENDUM

Udział w nim mogą wziąć wszyscy Czytelnicy „Tygodnia", byle odpowiedzieli na jedno proste i łatwe pytanie:

Których trzech państw europejskich znaczki zbieram najchętniej?

Jasną jest rzeczą, że każdy filatelista Polak najchętniej zbiera Polskę. Dlatego też w odpowiedzi znaczków polskich nie należy podawać. Natomiast trzeba wymienić trzy państwa obce i to w takiej kolejności, w jakiej najchętniej się je zbiera. Ci filateliści, którzy z jakich kolwiek powodów oprócz Polski nic nie zbierają, lub też kolekcjonują tylko jedno lub dwa państwa obce, powinni wymienić trzy państwa, które chcieliby zbierać. Zwracamy przy tym uwagę, że w losowaniu nagród treść odpowiedzi nie będzie brana pod uwagę, prosimy więc o niezgadywanie, jakie państwa poda większość, lecz szczere wypowiedzenie swych upodobań. Odpowiedzi należy nadsyłać do redakcji („Tydzień", Kącik Filatelistyczny, Warszawa 1, ul. Szpitalna 5, m. 8) najpóźniej do dnia 28 czerwca br. (ważna jest data stempla pocztowego).

Zastanawiając się nad treścią odpowiedzi należy wziąć pod uwagę przede wszystkim jakość znaczków (i to i artystyczną i techniczną). Dalej trzeba uwzględnić także i politykę wydawniczą danego państwa. Kraje, które wydają dużo wydań spekulacyjnych, mających tylko za zadanie wyciągnięcie jak największej ilości gotówki z kieszeni filatelistów, nie są na ogół chętnie zbierane, choćby znaczki ich artystycznie stały bardzo wysoko. Natomiast powszechnie zbiera się znaczki państw, które z góry ogłaszają swój rozsądny program roczny. Filatelista lubi wiedzieć, czego może się spodziewać i czy go na to będzie stać. Te rzeczy i wiele innych muszą wziąć pod uwagę ci Czytelnicy, którzy dotąd nie są zdecydowani, jakie znaczki, oczywiście oprócz Polski, chcieliby zbierać.

Pomiędzy wszystkich uczestników naszego konkursu - referendum, bez względu na treść ich odpowiedzi, byle by tylko były zachowane wszystkie warunki konkursu, redakcja „Tygodnia" postanowiła rozlosować 10 (dziesięć) nagród książkowych.

Pomiędzy tymi Czytelnikami, których odpowiedzi pokryją się z opinią ogółu, zostanie rozlosowana dodatkowa nagroda, ofiarowana przez red. Witolda J. Orłowskiego, w postaci dziesięciu egzemplarzy różnych zagranicznych pism filatelistycznych.

A więc pamiętajmy: termin upływa 28 czerwca!

•

Dnia 15 czerwca, dorocznym zwyczajem wyjdzie w Szwajcarii do obiegu specjalna seria znaczków z okazji święta związkowego, przypadającego na dzień 1 sierpnia. Dopłata, uzyskana z tych znaczków, przeznaczona jest na fundusz walki z gruźlicą, przede wszystkim wśród wojska.

Cała seria (zgodnie z tradycją zapoczątkowaną w 1945 r.) składa się z 4 znaczków, z których pierwszy przedstawia jedną z dziedzin pracy, a trzy pozostałe — budynki szwajcarskie:

5 + 5 rp (zielony) — strażnik graniczny, 10 + 10 rp (szary) — ferma friburska, 20 + 20 rp (brązowo - czerwony) — dom wallezański i 30 + 30 rp (szaro - niebieski) — dom tessiński. Godło państwowe na wszystkich tych znaczkach jest czerwone.

Znaczki są formatu 36.5 × 21.5 mm i mają ząbkowanie 11 3/4. W sprzedaży będą one od 15 czerwca do 15 sierpnia, a w obiegu do 30 listopada br.

Projektodawcami tych znaczków są: Karin Lieven, Faustina Iselin, Willi Koch i Pierre Chatillon. Pierwszy z tych znaczków został odbity w szwajcarskiej drukarni pocztowej, a pozostałe w firmie Courvoisier, znanej z wykonania m. in. naszych znaczków z 1946 r. z dopłatą na rzecz Międzynarodowego Biura Wychowania.

Witold J. Orłowski

KONKURS JUBILEUSZOWY

W dzisiejszym numerze ogłaszamy nowy konkurs na Rozrywki umysłowe, który z uwagi na zbliżający się numer jubileuszowy (100) naszego pisma nazwiemy „Konkursem Jubileuszowym" i który trwać będzie do 27 czerwca br. Termin nadsyłania rozwiązań upływa 15 lipca br.

Za rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych który rozwiążą chociaż jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia — również książkowych.

Wraz z rozwiązaniem prosimy nadsyłać opinie, które zadania są najlepsze. Za trzy zadania najlepsze wytypowane przez Czytelników, przyznane będą trzy specjalne nagrody książkowe. Prosimy o nadsyłanie nowych projektów.

KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów: poziomo: 1. córka Priama, 2. Postać z „Pana Tadeusza", 3. barwa inaczej, 4. jeziora w Finlandii, 5. karta, 6. lit. grecka, 7. podarunek inaczej, 8. dwie różne samogłoski, 9. lud zamieszkały w płn. Syjamie, 10. termin w szachach, 11. dwie jednakowe spółgłoski, 12. dwie samogłoski, 13. przyimek, 14. rzeka Kurlandzka, 15. lit. grecka, 16. „kość" w języku martwym, 17. bóstwo egipskie, 18. litera fonet. wspak, 19. miara powierzchni, 20. grecki przedrostek — „równo", 21. Matka Romulusa 2-gi przypadek, 22. dwie samogłoski, 23. „Ja" w języku martwym, 24. litera fonet. wspak, 25. malarz holenderski (1744 — 1808), 26. prawo - reguła, 27. bogini płodów, 28. matematyk grecki, 29. nakłanianie namawianie.

Pionowo: 6. są na morzu i rzece, 11. chińska jednostka miary długości, 12. ang. wojska tubylcze wspak, 14. „Do" w języku martwym, 20. dopływ Dunaju, 22. mają ryby, 26. litera fonet, 30. litera fonet. wspak, 31. nuta, 32. „niż" w języku obcym, 33. gaz wspak, 34. arabska jednostka miary dług., 35. część rośliny, 36. angielska jednostka miary, 37. „maj" w języku obcym, 38. Jednostka pracy w fizyce, 39. litera grecka, 40. porządek, 41. góry na Krecie, 42. legenda, 43. pseudonim polskiej literatki, 44. jest w więzieniu — wspak, 45. „strefa" w języku obcym, 46. obawa, 47. imię cygańskie, 48. nuta, 49. bóstwo egipskie wspak, 50. szczep Indian, 51. symbol herbu, 52. miasto fenickie, 53. nimfa grecka, 54. marszałek francuski, 55. nuta, 56. rzeka w Rosji, 60. rurka odpływowa wspak, 61. „posiada" inaczej — tryb rozkazujący, 62. miara pow., 63. ziarnista mąka skrobiowa, 64. zaimek (w l. mn.), 65. „wiatr" — w jęz. obcym, 66. Jutrzenka upostaciowana, 67. przyprawa kuchenna, 69. owad, 68. kwiat, 70. „gniew" w jęz. martwym, 71. pierwiastek chem. (wspak).

Litery w kratkach, zakreślonych grubszymi liniami, dadzą rozwiązanie.

ul. **Marmisz**

ZAGADKA 1

WPROST — nie wiem czy piłeś, czy pijesz?
WSPAK — nie próbuj, zbyt silny, głowę rozbijesz.

ZAGADKA 2

WPROST — napój naprawdę wyborny,
WSPAK — spotyka chłopca gdy niesforny.

ZAGADKA 3

LITERA, UTWÓR POETYCKI i znów LITERA,
CAŁOŚĆ nazwę znanej rzeki zawiera.
Zapytasz czy płynie w Urugwaju?
O, nie! Szukaj jej we francuskim kraju.

ul. „Albatros"

MALI OBYWATELE WYJEŻDŻAJĄ NA WIEŚ

Maj mieliśmy w tym roku mocno rozmaity — i upalny i bardzo zimny, suchy i wilgotny, jednym słowem — b. kapryśny, nie nazbyt swymi histerycznymi skokami sprzyjający zdrowiu naszych maleństw. Ale teraz już mnóstwo „drobnych obywateli" wywędrowało na wieś. Pęd wyjazdowy z zakurzonych murów odbudowujących się miast jest coraz większy. Zazdrosnym okiem spoglądają jeszcze dzieci w wieku szkolnym na młodsze rodzeństwo, ale i im pozostał już króciutki czas pobytu w dusznych salach szkolnych i ciasnych mieszkaniach. Czerwiec szybko minie i wszyscy znajdą się wkrótce na zielonej trawce!

W lecie należy dzieci trzymać jak najdłużej na powietrzu — na zacisznych polankach w lasach sosnowych lub na plażach nadmorskich.

Po regularnie podawanych posiłkach pamiętajmy o leżakowaniu, które szybko podnosi wagę dziecka, a podczas słonecznej pogody — o kąpielach powietrznych lub plażowaniu na piasku. Plażowanie wpływa znakomicie na przemianę materii: promienie słoneczne przyśpieszają krążenie krwi i pogłębiają oddech.

W dni upalne — dla ochłody stosujemy codziennie, ograniczone w czasie, kąpiele, które równocześnie mogą być traktowane jako rodzaj gimnastyki dla dzieci nerwowych.

Na wypadek deszczów i niepogody stosować należy werandowanie.

W pewnych wskazanych przez lekarza przypadkach stosujemy latem kąpiele solankowe, które mogą być branie bezpośrednio w wodach Ciechocinka, Buska, Inowrocławia i innych naszych uzdrowiskach. Kąpiele te w formie sztucznej stosować można zresztą we wszystkich letniskach podmiejskich. Kąpiele solankowe wskazane są dla dzieci anemicznych, limfatycznych, zołzowatych itd.

Las, sam przez się, ma niezwykły urok i czar, jest poza tym najmilszym miejscem do zabaw i gier dla dzieciarni, spełniając jednocześnie swoją wielką rolę klimatyczną, szczególnie w tych przypadkach, gdy lekarz nakazu je pobyt na świeżym bezwietrznym powietrzu. Dla dzieci z chorobami dróg oddechowych, las jest po prostu zbawieniem.

Zdrowe ale nieco przemęczone szkołą dzieci powinny wykorzystać lato na spacery i niezbyt długie wycieczki, pouczające ze względu na poznawanie flory i fauny, jak również z racji „niezwykłych przygód i wydarzeń", dających w czasie późniejszym tematy do miłych wspomnień i opowiadań o „bohaterskich czynach" i zdolnościach orientacyjnych w terenie.

Na polankach organizujemy gry ruchowe i inne rozrywki, które przy należytym kierownictwie są doskonałą szkołą współżycia, porządku i karności.

Poza wszystkim powiedzianym wyżej, największy nacisk kładziemy jednak na odżywianie. W okresie lata należy w odpowiedni sposób wyzyskać jarzyny i owoce, gdyż — jak wiadomo — zawierają one wielką ilość witamin i substancyj, koniecznych dla rosnącego i rozwijającego się organizmu dziecka. Przypominamy, że latem można podawać jarzyny i owoce w stanie surowym (oczywiście — czyste), gdyż w tej postaci pokarmów witaminy są obfitsze niż po gotowaniu.

Dobrze uczynią te matki, które przed wyjazdem na letnisko poradzą się swego lekarza, jak mają postępować z dziećmi, jak ułożyć i wypełnić plan dnia, jakiej trzymać się diety, jakie specjalnie wskazane są zabiegi, by czas spędzony na powietrzu i słońcu był jak najlepiej wyzyskany. Pamiętać bowiem należy, że tylko na wsi dziecko ma pierwszorzędne warunki dla rozwoju fizycznego i umysłowego, że — przestrzeń, powietrze, słońce, woda i nowe otoczenie wpływają niezwykle dodatnio, i że zmarnowane nieumiejętnym postępowaniem lato, ujawni swoje ujemne skutki w okresie zimowym.

Dr. med. B. M.

TYDZIEŃ Kobiety



PARĘ UWAG O JEDYNAKACH

Zagadnienie jedynactwa jest sprawą, która jako temat zasługiwała by na obszerne studium i to o wielu aspektach — społecznym, etycznym, ekonomicznym itd. Ze względu na ograniczoną ilość miejsca postaram się naświetlić to zagadnienie jedynie pod kątem „codziennie - praktycznym", podając kilka ogólnych uwag i wskazówek, dotyczących sposobu wychowywania jedynaków.

Wiele współczesnych małżeństw, czy to ze względu na ciężkie warunki materialne, czy też pod presją trudności mieszkaniowych — nie patrząc w przyszłość — ogranicza swe potomstwo do jednego dziecka. Cała uwaga najbliższego otoczenia skupia się na takim jedynaku, a troskliwość o jego zdrowie dochodzi nieraz do stopnia wręcz chorobliwego. Rodzice popełniają mnóstwo błędów i niepedagogicznych posunięć, wplatając się własnowolnie w jarzmo niewolniczej zależności od grymasów dziecka, naturalnie — ze szkodą dla jego osoby w przyszłości. Lekarz opiekujący się zdrowiem jedynaka musi być równocześnie pedagogiem rodziców, hamującym aż nazbyt często histerię rodzicielskiej miłości.

Nagół biorąc, jedynaki tworzą odrębny typ, o specyficznych cechach, mocno różniący się od dzieci wychowywanych „gromadzko".

Jedyne dziecko jest przeważnie „zanadto wychowane". Bezustanna kontrola, ciągła troska i obawa rodziców o zdrowie jedynaka, pomoc na każdym kroku, przestrogi bez końca — wytwarzają typ dziecka niezaradnego, niesamodzielnego, praktycznie niedoświadczonego, pomimo ogólnego wczesnego rozwoju umysłowego — ze względu na stałe przebywanie w towarzystwie starszych.

Jedynacy — to zazwyczaj dzieci nerwowe (niekoniecznie dziedzicznie obciążone), przesadnie hartowane lub też bardzo wątłe, bo pielęgnowane delikatnie — „niczem mimozy", chronione od ciągle „złego powietrza" karmione aż za ostrożnie i niehigienicznie, chociaż bardzo kosztownie. I pomimo tych jak najtroskliwszych starań i zabiegów są to naogół dzieci wątłe i stale cierpiące na brak apetytu.

Należy wystrzegać się przyśpieszania rozwoju umysłowego dziecka, im bowiem naturalniej ono mądrzeje, tym zdrowiej dla niego. Faktem jest, że zbyt szybki rozwój umysłowy odbija się zwykle na stanie nerwowym i psychicznym dziecka. Najlepszym hamulcem w tym wypadku jest dla dziecka towarzystwo rówieśników, a więc — komplet, ochronka, freblówka itp. W wieku szkolnym jedynak powinien bezwzględnie chodzić do szkoły; nauka prywatna w domu — „bo on jest taki chorowity i wątły" — wcale nie jest rozwiązaniem najlepszym.

Jakie są zazwyczaj skargi matek jedynaków? Przede wszystkim — brak apetytu. Ale równocześnie mamusie często stwierdzają, że ich jedyna pociecha, znalazłszy się w towarzystwie obcych dzieci w innym domu, łapczywie zajada, co mu wpadnie pod rękę, robiąc wrażenie „zagłodzonego biedactwa"... Ten pyszny apetyt tłumaczy się całkiem zwyczajnie — towarzystwem innych dzieci, które nie grymaszą „wsuwają", ile się da. Rozkapryszony i bez apetytu jedynak idzie w tym wypadku za dobrym przykładem rówieśników.



Większość „maminych synków" ma w kompletach dziecięcych ustaloną markę: egoistów, płaks, popsujów, osobników niesubordynowanych, lizusów... Inne dzieci odnoszą się do tego rodzaju towarzysza czy towarzyszki dość niechętnie i natychmiast potrafią zająć odpowiednią postawę wobec „księcia". W krótkim jednak czasie i to nie na skutek przestróg osób starszych, ale w twardej walce o miejsce, zabawkę, dzięki praktycznym naukom, wynikającym z codziennego biegu spraw w komplecie dziecięcym — charakter „bóstwa" zmienia się radykalnie. Z egoisty tworzy się typ małego uspołecznionego obywatela, który o tyle jest dopuszczany do gry i zabaw, o ile straci swą wyolbrzymioną ambicję i wykaże dostateczną dozę poświęcenia i koleżeństwa oraz zdolności do podporządkowania się ogółowi. Najcudowniejszym lekarstwem dla charakteru samolubnego jedynaka jest nie „kazanie" w pojedynkę, udzielane zresztą w jak najlepszej myśli przez mamusię, tatusia czy ciocię, ale niwelacyjna polityka dzieci - rówieśników podczas zajęć i zabaw w „ogródku" lub zespole.

Dr med. B. M.

Wykaz dzieci, których fotografie przyjęte zostały do konkursu Na „Najmilsze Dziecko" „Tygodnia"

4 LISTA

Inka Szafranówna (Łódź), Elżunia Chojnowska (Kalisz). Jerzy Kasprzyk (Lublin), Jerzy Rogala (Warszawa), Andrzej i Basia Kowal (Leszno), Joasia Mazurek (Warszawa), Basia Szopa (Szczecin), Marylka Brzezińska (Włocławek), Mirusia Kowalczyk (Wieś Srebrna), Antoś Dmytrow (Warszawa), Pawełek i Małgosia Majewscy (Warszawa). Jola Wołosz (Pabianice), Maryla Kołowrocka (Turzno), Danusia Halińska (Toruń), Halinka Reszkowska (Powsin), Walduś Warczak (Czersk), Walduś i Cezary Busiło (Warszawa), Jurek Olszewski (Kraków), Heniuś Piórkowski (Włochy), Danusia Dziuba (Warszawa). Ewunia Apanowicz (Warszawa), Bogdan i Witold Okeszcyowie (Sobolew), Haneczka Jakubowska (Kraków), Jagusia Przewdziecka (Warszawa), Tadeusz, Janusz i Andrzej Inglotowie (Rzeszów), Irenka Szczędzina (Lipiny), Elżunia Rotter (Bielsko). Krysia Stankiewicz (Opole), Nelusia Cholewa (Goleszów), Basia i Jurek Opolscy (Krasnystaw), Mareczek Ragu (Józefów), Leszek Gajdzik (Krapkowice), J. A. Wróbel (Kramsk). Jerzyk Romanowski (Bydgoszcz), Heniuś i Stasia Smulscy (Tczew). Rysio Hyla (Krosno n/Odrą), Wandzia Dutkowska (Strzelin), Basia Szafrańcówna (Chorzów), Marysia Galikówna (Jarosław). Czaruch Szczepaniak (Ząbkowice). Jagódka Nowak (Sopot), Danusia Majosówna (Nysa), Jerzyk Kamiński (Łódź), Ania Malesówna (Mińsk Maz.). Eugeniusz Wierzbiczak (Świętochłowice), Basia Stankówna (Wadowice), Ania Karpiak (Ciechanów). Joasia i Marysia Srokówny (Łazy). Natusia Piotrowska (Olsztyn), Jadzia Bigda (Kraków), Janusz Illukowicz (Swadzim), Rysio Jankowski (Rzeszów). Hania Szymańska (Łódź), Grażynka Marchwiarz (Sosnowiec), Krzyś i Basia Zarazowie (Krasnystaw), Jacek Hajkowski (Łódź), Andrzej Sowa (Ziębice), Terenia i Wojtuś Kotlarscy (Kraków), Bożenka i Grażynka Przyborowskie (Warszawa), Sabcia Star (Poznań). Basia i Zbyszek Kotlińscy (Warszawa), Binka Urbańska (Łódź), Danusia Opydo (Rzeszów), Piotruś i Pawełek Szczepanikowie (Żywiec), Tymuś Gajda (Katowice). Hania Skowronówna (Katowice), Hania Michalewska (Gliwice), Elżunia Kucówna (Strzemieszyce), Janeczka Waścińska (Sosnowiec). Anita Majewska (Toruń), Jurek Żylewicz i Bożenka Korendo (Toruń), Jędruś Chodorowski (Kępno Wlkp.), Michaś Sąciński (Głowno), Zosia i Józia Ostrowskie (Ożarów), Albin i Ryszard Tomaszewscy (Nowy Sącz), Andrzejek Wajda (Toruń), Januszek Sładnik (Krasnystaw), Józia i Janinka Maś (Wrocław), Marysia Galik (Jarosław), Romusia i Hania Doniec (Bieńczyce), Maciuś Kaczmarek (Wałbrzych), Tamara Pospieszył (Zelów), Jasio i Krysia Litwin. Danusia Sreborska (Żukowo). Jurek Furmański (Kraków), Maryś Cymberski (Zamość), Boguś Garstecki (Żabikowo), Leszek Tyrakowski (Żyrardów), Rysio Wolniarski (Włochy), Bożenka Rylska (Bielsk Podlaski), Mariola Przelaskowska (Krotoszyn). Marysia Świtalska (Dębno), Alusia Kłosowska (Radomsko), Krzyś Krzyżanowski (Siedlce), Grześ i Jędruś Szwaczko (Lublin), Leszek Janowski (Szczecin). Ita i Bożenka Sikorskie (Kutno). Alinka Ordo (Olsztyn), Jędruś Łajc (Gościno). Zenuś i Kubuś Smulscy (Karczmiska), Zdzisia Cygan (Bieńczyce), Rysio Jarnutowski (Drozdowo), Marek Drozd (Lublin), Krysia i Elżunia Cader (Katowice), Walduś Kobylański (Lębork), Marysia Glińska (Częstochowa), Zosia Jedlińska (Sośnie). Donia Piotrowska (Poznań), Bronek Czyż (Nysa), Janeczek Zeman (Hrubieszów), Hanka i Marysia Wajdówny (Chojnów), Andrzej Wiśniewski (Lipno), Basia Stopówna (Bielszowice), Halinka i Rysia Bilous (Lubań). Tadzio Walentek (Kamienica Polska), Jędruś Krauze (Ostrołęka), Januszek i Reniek Sobiechowie (Łomazy), Luduśka Gotowiec (Starosielce), Elżunia Gazda (Kędzierzyn), Wandzia Muniówna (Puławy), Wandzia Wyszomirska (Gdańsk), Wituś i Grażynka Gnatiuk (Lublin), Czarek Kołodziejski (Dąbrówka). Krysia Pożarowska (Kłodzko), Halusia Dziurgot (Jarosław), Danusia Rabówna (Rzeszów), Ewusia i Wiesia Karczewskie (Mława), M. Baczkowska (Bielsko), Marek i Grześ Juraszkowie (Kielce), Płoszek Hygin (Węgierska Górka), Sławek Lenga (Solice Zdrój), Trusia Mlinikiel (Warszawa). Tereska i Andrzej Ponulak (Słupsk), Violetta Cisowska (Wrocław), Basia Drozdowska (Wrocław), Zbyszek Michalak (Poznań), Eleonora Buczyńska (Bolesławiec), Jaś Turał (Wrocław), Ireneusz i Leszek Muszyńscy (Starachowice). Andrzej i Czaruś Pawelowie (Gdynia). Ewunia Marcinkowska (Andrychów), Małgosia Lipa (Grodziec), Terenia Kupisiakówna (Bełchatów), Wicuś Szamborski (Piaski), Halinka Drzewiecka (Zakrzew). Ewunia Silka (Gorlice), Krysia Wilińska (Gorlice), Staś Pęksiński (Połczyn Zdrój), Renia Szczędzina (Lipiny), Juluś Pryiński (Szprotawa), Krzyś i Adi Gawrońscy (Łódź).

Ciąg dalszy nastąpi.

ZDJĘCIA KONKURSOWE



506 Alusia Szczepańska (Warszawa)



487 Kazio Lorenc przyrzeka Danusi Rosińskiej, że za 20 lat się pobiorą,



494 Mareczek Pienczykowski (Ełk),



486 Krzyś Kowalik (Kraków),



485 Janeczka Kowalczykówna (Zakrzew) wraca ze szkoły.

URLOPOWE ROZKOSZE

Modele i fotografie: „Vogue", „Harper's Bazaar", A. Rank, Paramount









Od lewej 595 Kazio Popow (Kłodzko), 596 Zygmuś Kroczyński (Skalmierzyce), 597 Grzela Medyński (Skierniewice), 598 Wojtuś Kotowski (Łódź), 599 Andrzejek Szula (Bielsko), 600 Jerzyk i Lucek Dębiec (Chmielnik), 601 mała góraleczka Kinga Ligasówna (Wieś Tylmanowa pow. Nowy Targ).

Z SZEROKIEGO świata



Rodak nasz Feliks Topolski jest obecnie jednym z najpopularniejszych malarzy Anglii.



Żandarmeria Hagany wykryła miny i ładunki wybuchowe, założone przez dywersantów arabskich pod obiektami żydowskimi



J. Platts - Mills został wykluczony z Labour Party za wysłanie życzliwej depeszy do przywódcy socjalistów włoskich—Nenniego w czasie ostatnich wyborów.



Były król i ojciec zdetronizowanego ostatnio króla Rumunii Michała — Karol (po lewej) i żona jego, osławiona p. Lupescu, podczas zwiedzania muzeum w Lizbonie.



Willa w Kairze — mieszkanie przywódcy wafdystów egipskich Nahasa Paszy, zniszczona podczas zamachu bombowego

PIĘKNO ZIEM ODZYSKANYCH





Były król Anglii — książę Windsoru jako jazz - bandzista. Oryginalny ten występ miał miejsce na otwarciu hotelu Greenbriev w Zach. Wirginii, wsławionego w dziejach Stanów Zjednoczonych tym, że gościł w swoich murach trzynastu prezydentów amerykańskich



Tybet ma swojego „antypapieża"! Jest nim 11-letni Panchan-Lama, konkurent wielkiego Dalaj-Lamy



Szczęśliwa piętnastolatka — Joan Watkins, członkini klubu wędkarskiego w Nowej Walii, „od jednego rzutu" została królową sezonu.



Ewa v. Blomberg, wdowa po ministrze Spraw Wojskowych Rzeszy Niemieckiej, obrzuca wzrokiem bazyliszka Bernarda Giseviusa, który w wydanych ostatnio i cieszących się dużą popularnością swoich pamiętnikach określił ją jako rejestrowaną prostytutkę. Scena z sądu w Hamburgu, przed którym frau Blomberg oskarża Giseviusa o zniesławienie.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 86-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 90 zł., półroczna 520 zł., roczna 1000 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.

R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakł. Wklęsłodruk. R. S. W. „Prasa", W-wa